ŚWIATOWID

Nr. 51/488 ROK X
16 GRUDNIA 1933 R
NUMER ZAWIER
32 STRON DRUK
W CZECHOSŁO
WACJI Kc. 2·20.

GROSZY 60



W KRAKOWSKIEJ STRAŻNICY SZTUK

Numer niniejszy j[illegible]cony krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, która tak chlubną rolę odegrała w dziejach pols sztuki i stoi niezłom[illegible] tego dorobku, który jej pozostawili Matejko i Wyspiański. Na zdjęciu rektor Akademji S

Dr MIECZYSŁAW SKRUDLIK — Warszawa.

KRAKÓW JAKO ŹRÓDŁO SZTUKI.





Najstarszą na ziemiach polskich organizacją cechową malarstwa spotykamy w Krakowie. W XIV-tym wieku ujawniają się w szkole krakowskiej wpływy czeskie, potem niemieckie. W XV-tym wieku szkoła ta promieniuje na całą północną Europę. Na zdjęciu fragment tryptyku z XIV-go wieku. Szkoła krakowska.

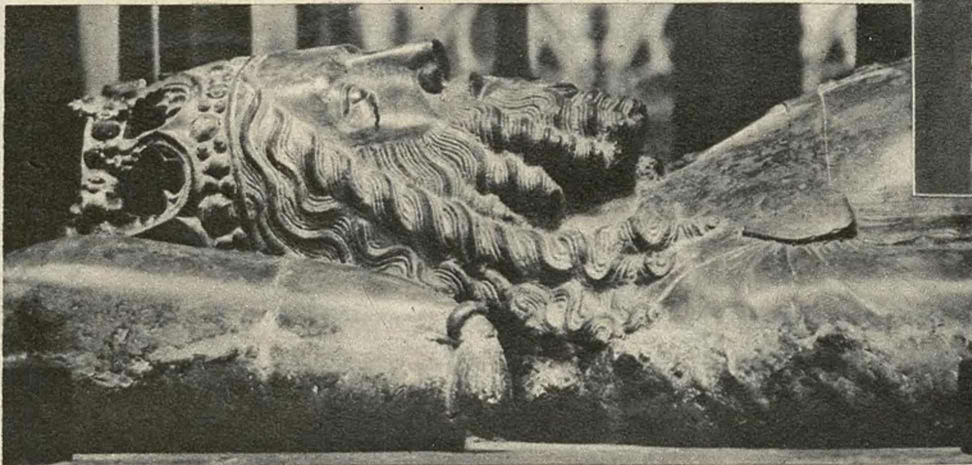
Stanowisko krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych w dziejach kultury duchowej i artystycznej Polski jest wręcz wyjątkowe. Wyjątkowość tę stwarzają nietylko zasługi tej Uczelni z lat ostatnich, stwarza ją przedewszystkiem stosunek Akademji do pszeszłości miasta.

Akademja Sztuk Pięknych jest nierozerwalnie, organicznie zespolona z Krakowem, jego przeszłością, jest emanacją tych poczynań artystycznych, które przez długie wieki promieniowały z Krakowa nietylko na całą Polskę, ale sięgały daleko poza jej granice. Data założenia Akademji jest datą przypadkową, bez istotnego znaczenia, gdyż uczelnia ta istniała w Krakowie o wieki całe wcześniej od daty jej oficjalnego otwarcia.

Już w XII wieku Kraków stał się ośrodkiem życia artystycznego. Ówczesne klasztory były pierwszemi szkołami artystycznemi, a zarazem pierwszemi punktami kolekcjonerskiemi, tu rozkwitało malarstwo monumentalne i iluminatorskie. Dzieje klasztoru Klarysek i zachowane w tem zgromadzeniu zabytki mozaikowe, sięgające przełomu wieku XII i XIII, ilustrują znakomicie owo zaranie sztuki polskiej. Promieniujący z klasztorów ruch artystyczny przyjął się rychło poza murami zakonów i kościołów. Element świecki, pracujący na własną rękę, nawiązał szybko kontakt z tym ruchem. Cech malarzy krakowskich, jak świadczą zachowane dokumenty, sięga początkami swemi

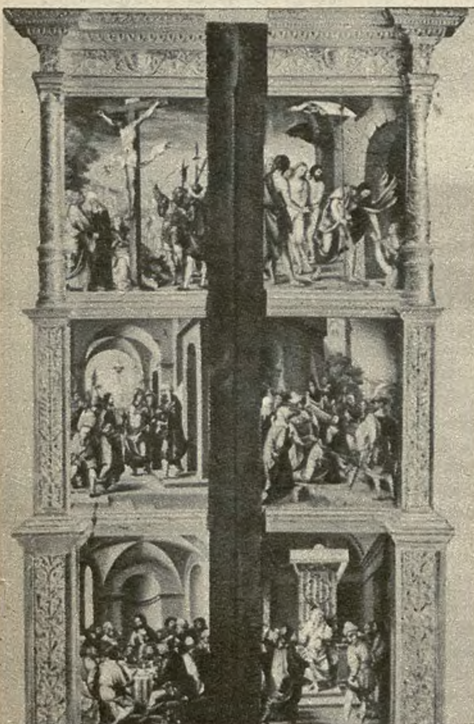


W drugiej połowie XV-go wieku Kraków jest Mekką artystów. Pojawia się wtedy potężna indywidualność Wita Stwosza, który tworzy tu największe swoje arcydzieła: ołtarz Marjacki, krucyfiks z kościoła Marjackiego, grobowiec Kazimierza Jagiellończyka itd. Na zdjęciu fragment z ołtarza Marjackiego.



Za ostatnich Piastów tj. Łokietka i Kazimierza Wielkiego następuje w Krakowie wspaniały rozkwit architektury, rzeźby i malarstwa. Na zdjęciu fragment sarkofagu Kazimierza W., wykonany z czerwonego marmuru. Twórca nieznany.

XIII wieku. W wieku XIV artystyczne oblicze Krakowa jest już całkowicie skrystalizowane. Kraków i tak bliski naszemu miastu Wrocław stają się wówczas ogniskami sztuki, rozkwitającej bujnie, promieniującej szeroko. Malarstwo krakowskie tych czasów nie posiadało bynajmniej partykularnego charakteru. Przeciwnie: Stosunki artystyczne z Flandrją, Francją, Niemcami były wyjątkowo żywe. W wieku XIV nastąpiło, tak płodne na przyszłość, przesunięcie życia artystycznego z cel mnichów do domów mieszczańskich. Nauczanie artystyczne przeszło w ręce cechu, organizacji, która, poza stroną interesów zawodowych — miała na celu przedewszystkiem szkolenie. W wieku XV poziom życia artystycznego w mieście osiąga wysokość wyjątkową. Wyrazem tego poziomu jest Wit Stwosz i jego szkoła. I rzecz znamienna : twórczość Stwosza rozkwita w pełni jedynie w Krakowie. W chwili, gdy, największy do czasów Matejki, artysta krakowski opuszcza miasto i powraca do Niemiec, załamuje się tragicznie jego życie i jego twórczość. Z lat pobytu Stwosza w Polsce w atmosferze jego wpływów, powstało najznakomitsze dzieło malarskie tych czasów, tryptyk z Bodzentyna. Dokumenty archiwalne z XV wieku mówią o masowym napływie artystów z Zachodu do Krakowa. Obcy ten element napływa nietylko w poszukiwaniu zarobku, ale kierował się tutaj dla uzupełnienia swego wykształcenia artystycznego. Warsztat Stwosza był już istotną akademją. Ale warsztat ten nie wyczerpywał całego bogactwa ówczesnego życia artystycznego. Obok bowiem kwitło zaszczepione przez pierwszych Jagiellonów malarstwo wschodnie w całym przepychu swego dekoracyjnego blasku. W wieku XVI świetnie prosperowało malarstwo ołtarzowe, portretowe i iluminatorskie. Wspaniałym pomnikiem tych cza-



Za Zygmunta I. wkracza do Krakowa renesans, którego ślady znajdujemy w obramieniu grobowca Olbrachta, w obrazach Kulmbacha w kościele Marjackim a przedewszystkiem w tryptyku z kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu, przypisowanym mylnie Hansowi Dürerowi. — Twórcą tego tryptyku jest Georg Pencz.



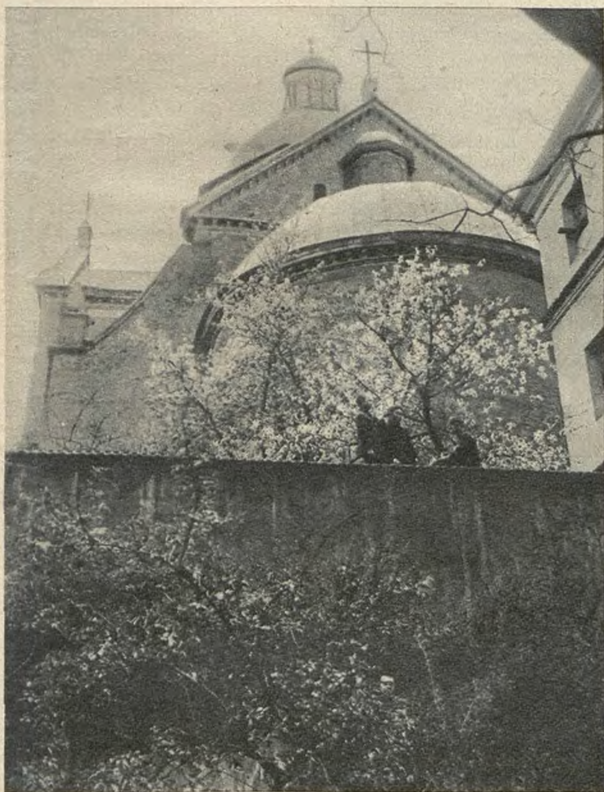
Pierwsze poza Alpami, najwspanialsze dzieło renesansu to kaplica Zygmuntowska na Wawelu, ukończona w 1533 r. przez Berecciego. Na zdjęciu widok zewnętrzny kaplicy.

sów jest kodeks Boema. Nawiązane przez ostatniego z Jagiellonów węzły stosunków z malarstwem Południa zacieśniały się i krystalizowały coraz konkretniej. Ten ciągły, żywy kontakt z zagranicą, to przez cały wiek zgórą przejawiające się krzyżowanie się prądów wschodnich, zachodnich i południowych — nadawało ówczesnemu życiu artystycznemu Krakowa specyficzne, bujne i bogate znamię. Ekspansja sztuki Krakowa była podówczas olbrzymia, sięgała na Zachód, podporządkowując swym wpływom Wrocław, a na Wschodzie, poprzez Lwów, dociekała do Kijowa i wywołała zasadnicze przeobrażenia w sztuce ruskiej. W pierwszej połowie XVII stulecia rozmach życia artystycznego i jego różnorodność potęgują się: ton nadaje wówczas Dolabella ze swoją szkołą. Okres ten cechuje krzyżowanie się wpływów dekoracyjnego przepychu malarstwa Wenecji z tradycjonalizmem cechu krakowskiego. Z krzyżowania się tego zrodziła się sztuka o wybitnie swoistej fizjonomji, sztuka, która przestała być już jedynie potrzebą warstw najwyższych, a stała się koniecznością życia codziennego. W okresie tym istniały w Krakowie dwie, rywalizujące ze sobą szkoły: cechowa, reprezentująca ciągłość tradycji, i nowatorska — Dolabelli. I rzecz znamienna: W latach „Potopu" i w okresie następnym, w okresie powszechnego wyczerpania, ruiny gospodarczej i nagminnej pauperyzacji — Kraków, przoduje nadal życiu artystycznemu w Polsce, pomimo tragicznych warunków ekonomicznych i pomimo przeniesienia stolicy państwa do Warszawy.

W Krakowie tworzą przedstawiciele wpływów malarstwa flamandzkiego Lekszycki i Tryciusz — zamek warszawski dekorują malarze krakowscy. Dopiero w epoce Sobieskiego przejawiły się tendencje, zmierzające do skoncentrowania życia artystycznego w Warszawie. Próby te jednak zawiodły. Zaczątek akademji, stworzony przez króla w Wilanowie, zamarł wraz z śmiercią Sobieskiego — a najznakomitsze dzieło polskiego artysty tych czasów, Siemiginowskiego, dochowało się nie w nowej stolicy, ale w krakowskim kościele św. Anny. Supremacja Warszawy w życiu artystycznem Polski datuje się od chwili wstąpienia na tron Stanisława Augusta. Szkoła warszawska tych czasów nosiła cechy wybitnie kosmopolityczne, była to sztuka, płynąca od zewnątrz, narzucana od góry. Tymczasem w Krakowie prosperowała sztuka nawskróś polska, sztuka, która była wyrazem przeżyć narodu w tych przełomowych chwilach i która stała się zarazem wytyczną na przyszłość. Tym łącznikiem pomiędzy latami ubiegłemi a przyszłemi był nawskróś polski, nawskróś krakowski malarz, M. Stachowicz. Malarz ten wyrósł w atmosferze wielkości historycznej miasta, taż sama atmosfera wydała wielkie malarstwo historyczne, które poprzez krótkie fazy przejściowe osiągnęło swą gigantyczną wielkość w twórczości Matejki. Lata pomatejkowskie, jak niegdyś wiek XV i XVII, skoncentrowały całą twórczość artystyczną w Krakowie, około Akademji Sztuk Pięknych, stworzyły tę sztukę polską, która wyprowadziła nas znowu na widownię światową i stała się manifestacją potęgi i wielkości ducha polskiego —w przeddzień wybuchu wojny światowej. Krakowska Akademja Sztuk Pięknych jest przedewszystkiem wyrazem i emanacją ciągłości życia artystycznego miasta, spadkobierczynią jego przeszłości, jego szkół artystycznych, sięgających XIII wieku, naturalną dziedziczką tradycji Stwosza, Matejki, Wyspiańskiego — to organiczne zespolenie z przeszłością miasta nadaje Akademji znaczenie wyjątkowe.



Po świetnym rozkwicie w XVII-tym wieku malarstwo krakowskie w XVIII-tym w. i w początkach XIX-go wydaje Konicza, Czechowicza, Brodowskiego, Peszkę i w. in. Na zdjęciu obraz Stattlera pt. „Machabeusze".



Pierwszy barokowy kościół na ziemiach polskich został wzniesiony w Krakowie. Jest to kościół św. Piotra (na zdjęciu), wzorowany na bazylice Il Gesu w Rzymie. —



Wybitną indywidualnością artystyczną w pierwszej połowie XIX-go wieku w Krakowie jest Józef Brodowski (ur. 1772 † 1863). Na zdjęciu portret Włodzimierza Potockiego, pendzla Brodowskiego. Muzeum Nar. w Krakowie.



Nierozerwalnie z Krakowem związany jest Michał Stachowicz, który tworzył na początku XIX-go wieku. Na zdjęciu „Przysięga Kościuszki" Stachowicza.

„TE OBRAZKI, CO MALUJE STANISŁAWSKI".



Portret Stanisławskiego Nestierowa. — Własność Muzeum Narodowego w Krakowie.

Ujrzałem Stanisławskiego po raz pierwszy w Wiedniu. Jako młody smyk, studjowałem w wybornej wówczas tamtejszej Szkole Przemysłu Artystycznego. Wybiegliśmy w wiosenny dzień ze Szkoły, stojącej do dziś przy Ringstrasse i cała zgraja stanęła jak wryta. Wiedeńskim fjakrem, wyrzucony jednym resorem wysoko, toczył się sam wielki Żorż Klimt, herszt awangardy w epoce Ver Sacrum, Secesji i P. Altenberga. Obok Klimta siedział łamiąc ku ziemi drugi resor — olbrzymi grubas, „Baryła", jakeśmy go w krakowskiej Akademji nazywali.

— Wer ist das? — pytały zdumione Niemce.

— To słynny polski malarz i znakomity profesor naszej Szkoły krakowskiej — objaśniłem opowiadając wszystko, co o Stanisławskim się wówczas mówiło.

— Aa... Wonderfull! Grossartig! — szeptali koledzy i cudzoziemki koleżanki.

Stanisławski bowiem przyjechał urządzić w wiedeńskiej Secesji ową słynną pierwszą wystawę „Sztuki" krakowskiej i zdobył za jednym zamachem nietylko Wiedeń, ale całą Europę zorganizowaną przez siebie, wspaniałą polską manifestacją. „Polską Intrygą" — jak szeptało się zawsze w Europie przy takich okazjach, bo wielcy artyści polscy byli wówczas jedynymi ambasadorami Tej, co skreślona z mapy mocarstw — Nie zginęła!

Wróciłem do Akademji krakowskiej, a kształcąc się u mistrzów Axentowicza i Wyspiańskiego, poznałem „Baryłę". Nie było to trudnem, bo straszliwa góra olbrzymiego cielska wykazywała żywość i ruchliwość niepojętą. Bywał wszędzie i trząsł opinją artystyczną nietylko Krakowa. Jego słowa i półsłówka grzmiały od Dniepru po Wartę, od Warszawy „aż do Tatr" — które kochał...

Które i malował. Nie wypowiadał się jednak w owym temacie tak, jak odczuwał i wyrażał ukraińskie rodzinne stepy i poezję nieba, zawieszonego nad Białocerkwią, Humaniem czy Berdyczowem. — Wówczas liryka jego siedmiomilowych skrętów szerokiego Dniepru grała jak gra turban w stepowych naddnieprzańskich trawach. — Grała na drobnych formatem olejno zamalowanych deszczułeczkach.

. . . .

Malutkie jak te obrazki
Co maluje Stanisławski
Z jabłoniami, bodjakiem,
We złotawem słońcu takiem.

Interesował się wszystkiem, co życia artystycznej Polski dotyczyło. Zwłaszcza teatrem. Teatroman, meloman i habitue „Zielonego Balonika", stał się w Krakowie osobą i uwielbianą i... znienawidzoną. Co kto lubi. — Uczniowie jego zamalowali całą ścianę Michalikowi — Stanisławskim. Profesor był tam wyimaginowany z kijem w garści, z wymykającym się z pod rzemienia pantalonów gorsem (upał w Dębnikach), wymykającym się dzyndzykiem koszuli z monogramem „I. S." — pokazali go w chwili, gdy gromi uczniów na pejzażu.

Byłem świadkiem, jak Stanisławski wtargnął na ten „Balonikowy wieczór". Popatrzył, ścisnął lagę i wyładował całą pasję w jednem tylko słowie — Nnnooo... dzyndzyk!!!

Na premjerach ówczesnego Teatru krakowskiego bywał stale. Jedni z grających na scenie w osobie rozwalonego w zacisznym fotelu widza, co siedząc zawsze bokiem, olbrzymie brzuszysko układał na kolanach sąsiada, widzieli bodziec i ostrogę, inni aktorzy tracili kontenans. Zdarzyło się na koncercie Burmestra, że przerażony takiem vis-a-vis świetny wirtuoz zaprotestował: „Jeżeli ten z pierwszego rzędu nie wyjdzie — nie gram!" Zapoznano ich wzajem i słynny skrzypek grywał już później właśnie Janowi Stanisławskiemu.

Jego stanowisko w sztuce powołani tych spraw sędziowie „dzisiejsi" — ocenili. Czy sprawiedliwie? — Historja sztuki, nieubłagana, nierychliwa ale sprawiedliwa, wykaże to kiedyś. Na jedno godzimy się wszyscy, że nie jego dzieła malarskie, w których się całkowicie nie wypowiedział, ale cała twórczość człowieka, jego „sztuka życia", a nadewszystko zadziwiająca zdolność organizacyjna, co tkwiła w nim w potencji, zadecydowały o roli Stanisławskiego w polskiej sztuce.

W glebę polską rzucił ziarno. Ziarno miłości Rodzimego Krajobrazu. Zeszło cudnie!

Henryk Uziembło.

IGNACY PIEŃKOWSKI
PROF. AKADEMJI SZTUK PIĘKNYCH
W KRAKOWIE.

ZARYS DZIEJÓW AKADEMJI SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE.

Polska Sztuka i Akademja Sztuk Pięknych wyrosły z cechu malarzy krakowskich, sięgającego jeszcze średniowiecza.*)

Do połowy XVIII w. cech, związany z losami miasta, nierównomiernym cieszył się rozwojem, nie zatracając jednak do tego czasu ciągłości, aż w r. 1745 U. J. widząc jego upadek zaopiekował się cechem i nadał jego nielicznym członkom „Wolności Uniwersytetowi służące" — w r. 1766 zorganizował Szkołę malarską, która jednak działalności swej nie rozwijała i dopiero król Stanisław August w poczuciu znaczenia kultury artystycznej w kraju uznał za potrzebne przekształcić ją na Akademję Malarstwa i rzeźby, polecając Bacciarellemu opracowanie Statutu. Fakt ten nie ucieleśnił się. W tym czasie wyszedł z Krakowa podczas reformy kołłątajowskiej drugi projekt przekształcenia Szkoły na Wydział Sztuk Pięknych przy U. J. a urządzenie Wydziału powierzono malarzowi Dominikowi Osterreicherowi, lecz do tego też nie przyszło i Osterreicher nie szczędząc trudu i nie tracąc wiary w przyszłość prowadził Szkołę przyczepioną wówczas do Liceum św. Anny. Następcą jego został Józef Brodowski. Między r. 1815–1818 na mocy Statutu, urządzającego Rzeczpospolitą Krakowską, znów przekształcono Szkołę, włączając ją do Wydziału filozoficznego, oddziału literatury. W organizacji tej uwiecznili swoje nazwiska — Brodowski i Peszka, prócz nich wszedł do Szkoły pierwszy rzeźbiarz, Wiedeńczyk Riedinger. Pierwszymi wychowankami Szkoły, którzy się wyróżnili, byli: Głowacki i Stattler.

W r. 1827 kurator generalny Instytutów naukowych Wolnego Miasta Krakowa hr. Józef Załuski, protektor i amator sztuk pięknych zaopiekował się Szkołą, zatwierdzając jej równorzędność z innymi wydziałami Uniwersytetu. Wzbogacono wtedy galerję obrazów polskimi twórcami, zakupiono antyki, — powiększoną została liczba katedr i gabinetów. W tym czasie przeniknęły Szkołę nowe prądy, które szły z Zachodu, lecz niestety powstanie listopadowe, w którem wziął udział Załuski, przecięło jego starania o dalszy rozwój uczelni i jakiś czas ratują jej stanowisko Osterreicher ze Stattlerem. W 1833 r. rozpoczyna swoją działalność Komisja Międzymocarstwowa, która stosując system oszczędnościowy w pierwszym rzędzie bezpośrednio uderza w Szkołę, a w rok później komisarz rządowy Hübner przyłącza ją do Instytutu Technicznego, pakując do kolegjum św. Barbary i odbierając jej w ten sposób znaczenie wśród społeczeństwa, dość zresztą i zawsze obojętnego na cele i zadania sztuki. Trzeba było energji Stattlera, aby w tych warunkach obronić ją przed zagładą.

W 1852 r. kierownictwo Szkoły przechodzi do rąk jej dawnego ucznia Wł. Łuszczkiewicza i asystenta jego Szynalewskiego. Ożywiony duchem twórczym i pełen sił, przytem pracowity jak mrówka, Łuszczkiewicz staje się popularnym i nie szczędzi trudów, aby wieść młodzież ku żywym ideałom. Rozwija zamiłowanie do piękna, zakłada czytelnię akademicką, samopomoc o charakterze etyczno-moralnym, porządkuje zbiory, ustanawia wysoki poziom, opierając się na takich uczniach jak Grottger i Matejko, wreszcie stara się usamodzielnić szkołę.

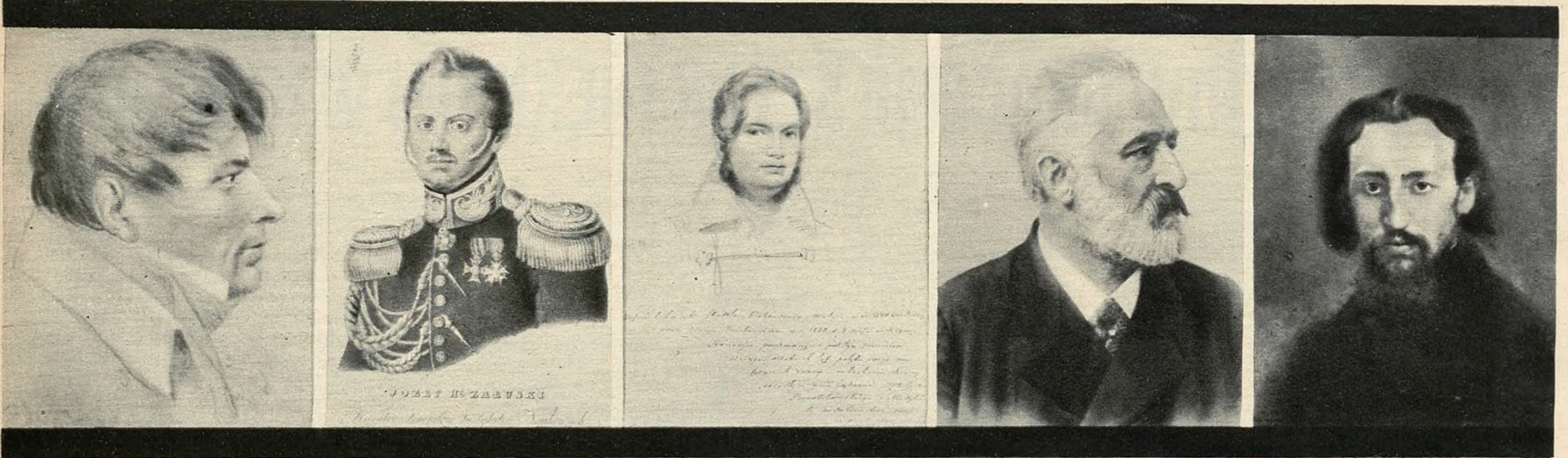
Rok 1873 przynosi zmianę systemu rządów w Galicji i daje pozorną swobodę Szkole,

(Ciąg dalszy na str. 6-ej).



Król Stanisław August Poniatowski uznał za potrzebne przekształcić szkołę malarską w Krakowie na Akademję malarstwa i rzeźby.

*) Szkic ten napisany na podstawie prac Dr. L. Regorowicza, Wł. Łuszczkiewicza i Prokescha.



Józef Peszka, znakomity malarz, był organizatorem szkoły malarskiej w początkach XIX-go wieku, gdy była ona włączona do wydziału filozoficznego U. J.

Hr. Józef Załuski, generalny kurator Instytutów naukowych w. m. Krakowa zatwierdził w 1827 r. równorzędność szkoły malarskiej z innemi wydziałami Uniw. Jag.

Wojciech Stattler rozwinął po ustąpieniu Załuskiego w 1830 r. gorliwą działalność, aby uchronić szkołę malarską przed likwidacją, którą zamierzano przeprowadzić ze względów oszczędnościowych. Szkoła wtedy została przyłączona do Instytutu technicznego.

Władysław Łuszczkiewicz obejmuje kierownictwo szkoły w 1852 r. Uczniami jego są Grottger i Matejko. Niezapomniane są jego zasługi na polu ochrony i konserwacji zabytków sztuki.

W 1873 r. dyrektorem szkoły, usamodzielnionej od Instytutu technicznego, zostaje mianowany Jan Matejko, który przeprowadza szereg reform, przeobrażających z gruntu tę uczelnię.

(Ciąg dalszy ze str. 5-ej).

kokietuje ją tytułem Akademji i obiecuje odłączyć od Instytutu, mianując jej dyrektorem sławnego i b. cenionego już wówczas Matejkę. Ta nominacja miała olśnić Kraków i zasłonić mu oczy na prawdę. Tymczasem Matejko nie dał się uśpić austrjackiem kadzidłem i na samym wstępie zaczął się domagać zrealizowania koniecznych reform. Chciał rozszerzyć ramy i zażądał nowego lokalu, statutu i obsadzenia katedr nowymi profesorami, zaproponował więc Rodakowskiego, Löfflera albo Kotsisa i Grabowskiego, domagając się rozszerzenia budżetu, uprzedził rząd, że nie dopuści do skrycie zamierzonego obniżenia poziomu szkoły. Mimo zwłoki w odpowiedzi niestrudzony Matejko walczy — a w ostatniej chwili grozi swoją „rezygnacją...". Twierdzi w dalszym ciągu, że obóz jego ma dość tułaczki, że zasłużył sobie już nawet na własny gmach. Upór zwycięża i w r. 1879 Szkoła Sztuk Pięknych zaopatrzona jakby się zdawało we wszystko, przenosi się do własnego budynku, wzniesionego kosztem rządu i kraju, na placu, który mu miasto ofiarowało, a on na „cel publiczny" wspaniałomyślnie oddał. Tu jako dyrektor założył trwały fundament pod wielką polską sztukę. W r. 1893 umarł, choć pozostał w historji narodu nieśmiertelny!

Po paroletniej przerwie powołano na dyrektora Rodakowskiego, któremu śmierć nie pozwoliła objąć tego stanowiska i w r. 1895 został zamianowany Juljan Fałat. Wieść ta uderzyła jak piorun w skałę i rozeszła się echem po całej Polsce.

Starsze pokolenie ogarnął lęk — a młodym urosły skrzydła, które ich poniosły pod Wawel. Fałat czuł potrzebę postępu, wiedział, że wszelki patos w malarstwie się skończył i dlatego powołał najwybitniejszych z pośród młodej generacji artystów, rozprószonych po Europie, których sztuka na innych założeniach była oparta. Nazwiska są jeszcze dziś znane, więc ich nie wymieniam. W dalszym ciągu przygotował plan rozwinięcia i przekształcenia szkoły. Najwyższym dekretem cesarskim z dn. 24 lutego 1900 r. przeistoczono K. S. S. P. na Akademję. Po kilku latach rozkwitu nietylko mury uczelni okazały się za ciasne, ale i statut był za wąski. Wprowadzenie rektoratu, kursów dla kobiet, założenie domu akademickiego okazały się nieodzowne. Życie wołało w dalszym ciągu o wiele, wiele reform. Władze powstrzymywały ten rozpęd w obawie konkurencji z Pragą, Wiedniem, ale mocna postawa profesorów Akademji, oraz strejki uczniów wywalczyły ten program i w 1910 r. pierwszym rektorem został Axentowicz.



W 1895 roku dyrektorem szkoły został Juljan Fałat, w pięć lat później dekretem cesarskim z dnia 24 lutego szkoła została przeistoczona na Akademję.

W parę lat później wybuch Wielkiej Wojny zabrał do szeregów najtęższe siły z pośród młodzieży, bo walczyli tak w armji austr., jak w legjonach z wiarą w Zmartwychwstanie Ojczyzny.

W latach następnych rozbudowano gmach, wprowadzono kurs graficzny i utworzono Wydział architektoniczny, który mimo, że trwał krótko, był emulacją dla innych wydziałów o tym charakterze i wydał pewien kontyngent dyplomantów. Ożyła katedra sztuki dekoracyjnej, powstały nowe gabinety doświadczalne, rozwinięty został kurs plenerowy, powstał własny dom na ten cel zakupiony na Harendzie — pozatem został otwarty Oddział K. A. w Paryżu pod opieką prof. Pankiewicza, przez który K. A. kontaktuje z Zachodem.

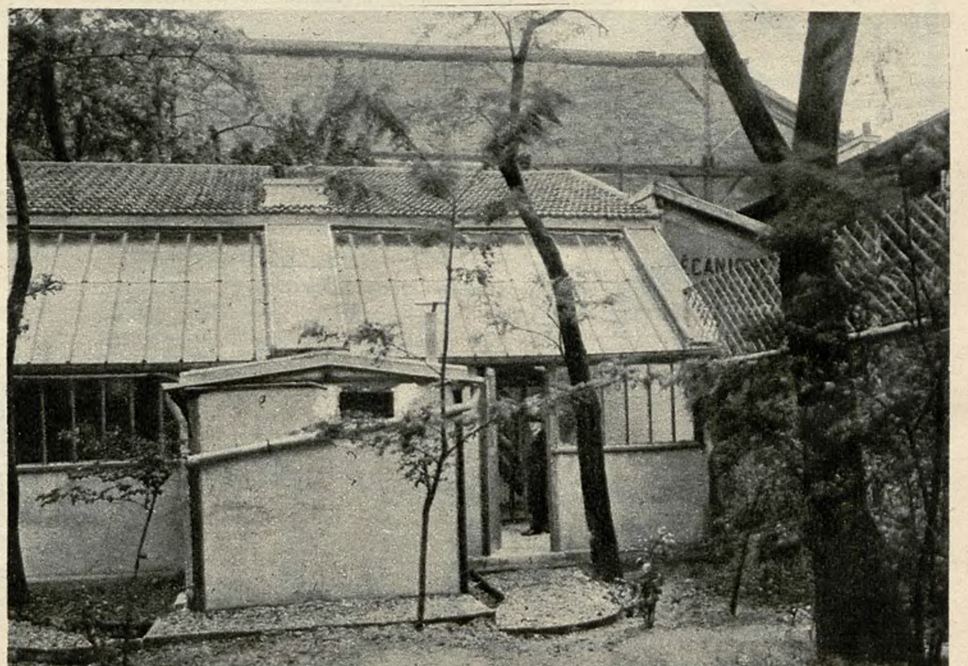
Sztuka, wiedza i eksperyment utrzymują wzajemną równowagę i ciągłość.



Zgórą od półtora wieku wre praca w krakowskiej Akademji i kształcą się nowe pokolenia malarzy. Na zdjęciu uczniowie przy pracy na kursie ogólnym prof. Jarockiego.



Akademja krakowska posiada swój własny dom na Harendzie w Zakopanem, gdzie zajeżdżają profesorowie i uczniowie, udający się na studja plenerowe.



Od lat istnieje w Paryżu oddział Akademji, którego kierownikiem jest prof. Pankiewicz. Na zdjęciu pracownia oddziału paryskiego.

LUDWIK PUGET — Poznań.

GDY MATEJKO BYŁ „BOGIEM" AKADEMJI.



Jan Matejko w swej pracowni krakowskiej, u schyłku życia, przy pracy nad obrazem „Konstytucja 3-go Maja". Od Matejki datuje się bohaterski okres Akademji, który trwa aż do końca XIX-go wieku.

Ściany były pomalowane na kolor pompejański, tu i ówdzie odpadający od tynku, a pachniało tym zapachem, który Anglicy nazywają „kontynentalnym". Ale mimo to była w całym gmachu Szkoły Sztuk Pięknych jakaś skupiona dostojność. Coś z zakrystji.

Przychodziłem tam wówczas popołudniami, jeszcze jako sztubak. Daleko mi było do matury, ale Konstanty M. Górski, z przyjaźni pozwolił mi przychodzić słuchać swych wykładów historji sztuki. Siadywałem w ławce jako onieśmielony intruz, tolerowany łaskawie, a trochę ironicznie, przez starszych, „prawdziwych" uczniów Szkoły. Wydawali mi się wówczas wspaniali, dojrzali, trochę starzy. Ale dalibóg dziś widzę, że S. Jarocki, Leon Kowalski i Weiss byli wtedy bardzo i to bardzo młodzi. Sam nasz profesor, „Kocio" Górski, z ciemną czupryną i miedzianą brodą, którą nosił modą ówczesnych literatów paryskich, miał coś około lat 30-stu, i z naciskiem zawsze podkreślał, że chce swych słuchaczów traktować jako młodszych przyjaciół-kolegów. Ten, niesłusznie dziś zapomniany, poeta wykładał nie jak poeta, ale jak erudyta historyk, ściśle, z precyzją, z profuzją aż może zbyteczną szczegółów. Poetę odnajdywało się w starannem i prawie wyszukanem dobieraniu wyrażeń, a także w kreśleniu tła, pejzażu. Do dziś dnia pamiętam obraz żółtej Sienny wśród ugrowych gliniastych wyniosłości, którym wówczas Górski mignął mi przed oczyma, a którego pejzażową wierność sprawdziłem później na miejscu.

Swobodny nastrój panował na sali. I dopiero gdy się wychodziło na korytarz, ogarniało jakieś przyciszenie, ta skupiona atmosfera zakrystji katedralnej, o której wspomniałem. Dziś wiem, dlaczego i skąd. Szła ona z głębi korytarza, gdzie poza drzwiami zawsze zamkniętemi była pracownia-sanktuarjum. Stary Gorzkowski, sekretarz Szkoły, zbliżając się tam, stąpał na palcach.

I raz — była to już szara godzina — z tego ciemnego końca korytarza wyszła drobna postać starszego człowieka z brodą, w czarnym zapiętym surducie, o szybkich nerwowych ruchach. W korytarzu uciszyło się, jak makiem zasiał, a drobny pan w surducie zbliżywszy się do Konstantego Górskiego, stanął z nim we framudze okiennej i cichutkim głosem przez chwilę mu coś mówił, poczem odszedł z powrotem w ową głąb korytarza.

— Kto to był? — spytałem Górskiego.

— Jakto — odrzekł — nie wiesz? Matejko!

Znałem doskonale rysy twarzy Matejki z jego obrazów, z rysunków, z fotografij. Nie rozpoznałem ich przy zapadającym zmroku. Ale przedewszystkiem nie poznałem w tym drobnym człowieczku potentata, którego nazwisko brzmiało dla nas jak surma, otrębująca ogromne płótna, kłębiące się atletycznymi bohaterami, w stłoczonej procesji pancerzów, puharów, chorągwi, mieczów, adamaszków i barokowych złotogłowi.

Tak, w tej pracowni w głębi korytarza, do której nigdy nie było mi danem zaglądnąć, grały zapewne te uroczyste obrazy, jak rozśpiewane organy katedralne. Tam chór królów, biskupów, hetmanów i rycerzy śpiewał na sto głosów Glorję przeszłości narodu. Tam odbywało się ciągłe, uroczyste i wspaniałe nabożeństwo do polskiej chwały. Jakaś solenna suma. A tej sumy słuchał cały Kraków i zginał kolano, ilekroć, w złocie ram, w rozdzwonieniu admirujących serc, w kadzidle opinji publicznej, nowy obraz Matejki intonował „hosanna" dla Sobieskiego, Olbrachta, Zygmunta, czy Kościuszki, dla tej postaci w dziejach która zkolei wybrał, którą zkolei naznaczył płomiennem znamieniem Króla Ducha, której święto rozgłosił festynem chorągwi, husarskich skrzydeł, pancerzy i złotogłowi — ten drobny, cichy pan, o nerwowych rękach, zapinający na swem płomiennem sercu chudy czarny surducik.

I gdy owego popołudnia, o szarej godzinie, usłyszałem odpowiedź Górskiego: „Jakto, nie wiesz? Matejko!", gdy usłyszałem te słowa przyciszonym nieco głosem wypowiedziane, przeszedł mnie lekki dreszczyk wzruszenia. Takiego wzruszenia, które troszkę tylko dalej posunięte, nakręca łzami w oczach, tak ot, niewiadomo dlaczego, poprostu dlatego, że niosą chorągiew, że zagrano hymn, a wszyscy z miejsc powstali.

* * *

W parę lat później — a byłem już wtedy dryblasem i zdałem doskonale, a całkiem niepotrzebnie maturę — zapisawszy się na uniwersytecie na historję sztuki, weterynarję i literaturę, a w Szkole na kurs Axentowicza, uganiałem swobodnie po hałaśliwych korytarzach Szkoły Sztuk Pięknych. Co poniedziałek wybieraliśmy modelkę do aktu — wielka, przyjemna nowość, nietylko dla początkujących uczniów, ale i dla Szkoły, bo za czasów Matejki ani mowy być nie mogło o malowaniu aktu kobiecego! Na zmanierowane obrazy Matejki poprostu nie mogłem się patrzeć...

* * *

Ano trudno! Toć i pies, jak młody, to głupi — powiada gdzieś z rozrzewnieniem jakiś sienkiewiczowski Butrym. Ale moim młodym przyjaciołom, piszącym dziś o Matejce, powiadam: Nie można mówić o sztuce Matejki, zapominając o istotnym jej współczynniku, którym jest sama jego postać.

Moi drodzy! Nie stąpaliście na palcach po tych korytarzach dzisiejszej Akademji, nie wiecie, jaka się tam u Niego odprawiała suma, nie widzieliście, jaki wyraz twarzy mieli wtedy w całym Krakowie profesorowie i hrabiny, sejmowi posłowie, dziennikarze, poeci i przekupki. Coś z tego jest jeszcze dziś, gdy Zygmunt dzwoni.

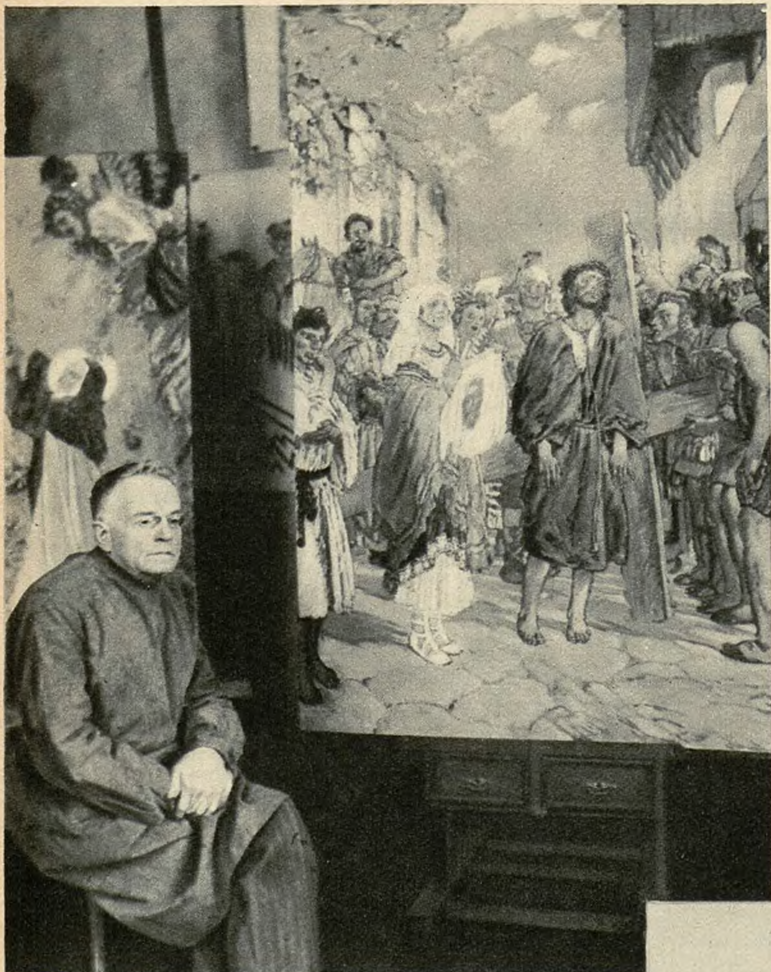
JÓZEF MEHOFFER

B. REKTOR AKAD. SZT. PIĘKN. W KRAKOWIE.

W KALEJDOSKOPIE.

W ramach niniejszego numeru, poświęconego życiu krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, oddajemy głos jednemu z jej najznakomitszych przedstawicieli, który początkowo jako uczeń, potem profesor i rektor związał swą z góry czterdziestoletnią działalność artystyczną z tą najstarszą placówką polskiej sztuki malarskiej. Z pod jego pióra wypłynęły słowa, nacechowane głęboką troską o losy zarówno dalszego kształtowania się zdrowej myśli artystycznej w naszem społeczeństwie, jak i samych murów Akademji, wśród których ona kiełkowała i kwitła przez lat dziesiątki ku chwale kultury podwawelskiego grodu i imienia polskiego.

Redakcja.



Józef Mehoffer w swojej pracowni. Znakomity ten artysta obchodzi w bieżącym roku 40-lecie swojej twórczości artystycznej, która zapisała się szeregiem monumentalnych płócien, witraży i kompozycji, które zjednały mu rozgłos w całym świecie.

Życie ludzi, zwierząt, budynków kryje się często przed zatroskanemi oczami z boku stojących, a jednak — utajone — ono istnieje i wdzięcznem naprawdę jest zadaniem wydobyć je na wierzch i ukazać tym, którzy je znać powinni. Budzi się w nas wtedy zadowolenie, wypływające z przekonania, że i ci, zwyczajni, codziennym swym własnym kramem życiowym zajęci i utrapieni ludzie z uznaniem a może i z wdzięcznością spojrzą na otaczające ich rzeczy, posiadające swą wartość, rzeczy, do których przywykli i których wskutek tego nie dostrzegali dotąd, że one roztoczą pewien urok i zagarną choć na krótko ich uwagę, że jednem słowem ożyją dla nich.



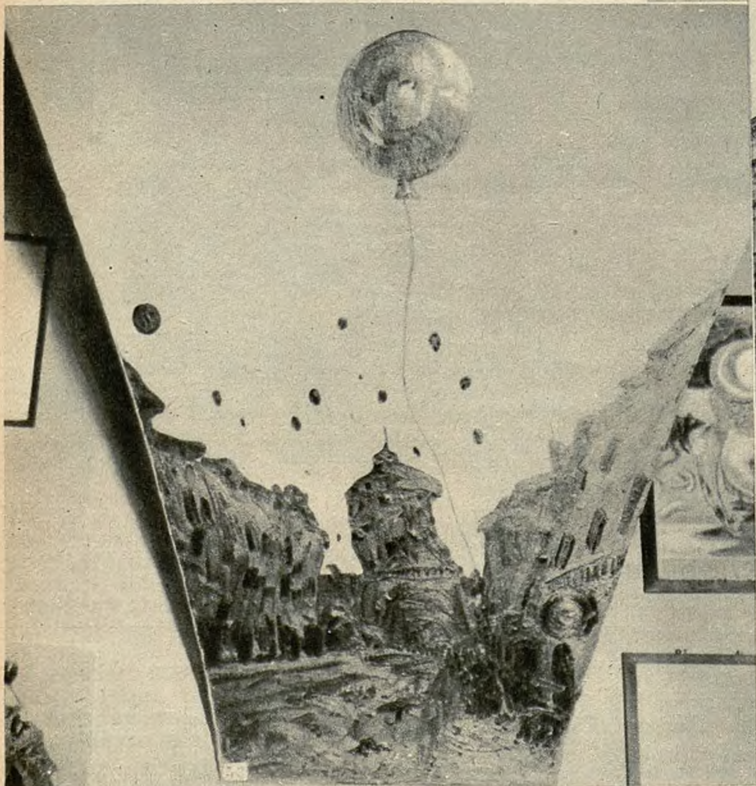
Gmach Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, przy ul. Matejki. Nie odpowiada on już współczesnym wymaganiom i powinien być zastąpiony przez nowy, godny Krakowa.

Przeciętny krakowianin, zżyty z swem miastem, a nawet je kochający (bo tak lubi twierdzić), nie obdarzy troskliwem spojrzeniem Wawelu ani Sukiennic, wydeptując pilnie około nich ścieżkę prowadzącą go do codziennych zajęć. Idąc do Banku Polskiego, lub Dyrekcji Kolei, nie zauważy może, że gołębie przeniosły się na Akademję Sztuk Pięknych i Rondel florjański i rozmnożyły się w tym kącie Krakowa. Może warto, aby przypatrzył się, jak ranne promienie słońca kładą się na gzymsach Akademji, utkanych w gęste sznury ptaków, nastrzępione ich żelazistemi skrzydłami i ogonkami. Sznury te zmieniają się przy najlżejszej okazji w ruchliwą, lotną armadę, która z furkotem zlatuje na ulicę, przesłaniając srebrzystem prześwitem przeźroczem budynek, aby za chwilę ubrać ciemnemi paciorkami czerwone daszki barbakanu. Nawiasem dodam, że ten skręt ulic zamknięty zielonemi modrzewiami plant, ceglanym średniowiecznym fortecznym budynkiem i Akademją Sztuki, gdzieś na większym świecie jużby może zrobił się typowy, jużby był godnym widzenia i celem objektywów aparatów turystów.

Czy ten budynek narożny nie zaprzątnie na chwilę waszej uwagi? Czy nie pomyślicie, że tam wewnątrz dzieje się przecież coś diametralnie innego, niż w obu sąsiednich gmachach publicznego użytku?

Spróbujemy wywołać właściwe jego życie. Oglądnijmy go więc przedewszystkiem uważnie naprzód od zewnątrz, a potem wejdźmy do środka. Może zobaczymy nietylko co tam jest, ale co było niegdyś. To prawie seans metapsychiczny. Czy zauważyliście, że ten budynek, który przez dziesiątki lat był nudny i banalny, jakoś w ostatnich latach zyskał na wyglądzie, a nawet otrzymawszy sąsiedztwo monumentalnych i nowożytnych gmachów, dotrzymał im kroku, stając się także — zaryzykujmy wyrażenie — wielkomiejskim? Jego architektura choć niemodna, wydaje się nam dzisiaj wcale niezłą wobec patykowatych kolumn Banku i jego portalu przylepionego do ściany i spełniającego rolę ramy, do której nie wstawiono jeszcze obrazu. Obejmuje on swemi kolumnami pustą ścianę, w której u spodu są zwykłe małe drzwi wchodowe, a nad niemi użytkowe okienko z klatki schodowej, czy mieszkanka. Proporcje Akademji są dobre, nie jest wcale zakrótka jak Bank którego wielka i monumentalna część środkowa trzyma jakgdyby pod pachami prawą i lewą zanikającą stronę budynku. Sam narożnik Akademji pod kopułą ma wcale monumentalny stosunek otworów okiennych do otaczającego je muru.

Pokazuje się, że jak zdrowie ocenia się dopiero wtedy, kiedy dla kontrastu zestawimy je z chorobą, jak powodzenie ocenimy jak należy, widząc obok straty i szkody, tak i lekceważona rzecz dawniejszego pokroju zyska wreszcie uznanie, kiedy ad oculos stanie jako przykład coś gorszego. Nie dajmy się tylko hipnotyzować opowiadaniom



Nierozerwalne z Akademją krakowską są dzieje „Zielonego Baloniku", mieszczącego się w Jamie Michalika przy ul. Florjańskiej. Kabaret ten, który skupił najwybitniejszych malarzy i literatów „Młodej Polski" posiada swoją złotą kartę w dziejach kultury Krakowa. Na zdjęciu jedna z polichromji w Jamie Michalika, pendzla Szczyglińskiego.



Genjalny pisarz i malarz Stanisław Wyspiański należał do grona uczniów i profesorów Akademji Krakowskiej. Był on pierwszym, który walczył o polski styl w sztuce dekoracyjnej. Na zdjęciu autoportret Wyspiańskiego i jego żony.



Najpopularniejsza osobistość Akademji. Przezacny, uprzejmy i pełen pogodnego humoru portjer Józef Nowak



W sekretarjacie Akademji. Od prawej: Przy biurku kwestor Akademji p. Widełka, obok sekretarz Akademji dr. Kos, p. Daum zast. kwestora i p. Kostecki.

o celowości i bezwzględnej prawdzie budynków naszych nowożytnych, bo one właśnie pod tym względem często grzeszą. Ale o tem wartoby pomówić osobno. Narazie pragnąłem tylko dla tej starej, wyszłej z mody budowy wyjednać u roztargnionego przechodnia pobłażliwe, a może sprawiedliwe spojrzenie. Wejdźmy do środka. Klatka schodowa rozmiarami niecodzienna, schody szerokie nawprost wejścia, a w perspektywie na górze il Pensieroso medytuje nad wieczną zagadką sztuki, jaką mu zadają rozmieszczone rytmicznie z obu stron schodów na ścianach reprodukcje dzieł, począwszy od Tycjana i Tintoretta, skończywszy na Breughelu i Rembrandcie. Na wyższych piętrach na piedestałach greckie automedony i Wenery, włoscy papieże i niewolnicy cierpiący, wreszcie średniowieczny konny rycerz, ściśnięty w pasie jak osa, zabija smoka. Z porozwieszanych na korytarzach olejnych obrazów wieje pragnienie młodzieńcze.

Ale poza tem wszystkiem schody te wiodą jeszcze do tablic brązowych, poświęconych tym, których wspomnienie tutaj się czci: Stanisławski i Wyspiański, obaj jednego roku zmarli, roku pamiętnego i groźnego w dziejach Akademji. Mamy w pamięci te schody, zasłane dwoma rzędami wieńców z mnóstwem wstęg kolorowych, złożonych tutaj w 25-lecie śmierci Wyspiańskiego. I jeszcze jedna tablica marmurowa ze złotemi głoskami: to nazwiska poległych w polskiej już wojnie uczniów Akademji. Te trzy wieńce z nieśmiertelników białych, czerwonych i złotożółtych, umieszczone wśród białych posągów na jasnożółtej ścianie powinny tam stale wisieć jako żywy znak pietyzmu.

W taką to ramę ujęte jest dzisiejsze życie artystyczne. Pracownie szkolne rzeźbiarskie na parterze tchną wonią mokrej gliny i zatęchłych szmat, któremi okrywa się studja w czasie roboty; do pracowni tych prowadzą ciemne korytarze i zakamarki zapełnione żelaziwem i gruzem gipsowym. Trzecie piętro rojne i kolorowe: tam są malarze. Pracownie profesorskie są odbiciem oblicza artystycznego pracujących w nich artystów: każda inna. Nagromadzone są w nich stosy obrazów i rzeźb. W niektórych widziałem obrazy piętrzące się aż pod sufity w trzech kondygnacjach: zastygłe życie, które czeka chwili, kiedy społeczeństwo wyciągnie po nie ręce. Kiedy?... Narazie w wielkich salonach polskich wiszą na ścianach: Mme Vigée le Brun, Lampi, Grassi, Winterhalter i na nich zamknął się po większej części krąg zainteresowań ich właścicieli; w małych salonach, mieszczańskich znajdują się obrazy polskie współczesne. Cóż, kiedy to są salony lekarzy, adwokatów i dentystów, zapełnione przez ich klientelę artystyczną.

Ale czas kończyć z chwilą obecną. Rzućmy jeszcze okiem do portjerni. Tam siedzi legendarny Nowak, którego pamiętamy w cudownym, błękitnym, ugalonowanym żółto uniformie, w kapeluszu prawie generalskim na głowie i ze złotą buławą w ręce, jak witał odwiedzających Akademję arcyksiążąt, jeszcze w czasie wojny. Uniform ten, buława i kapelusz wywarły później efekt na balu redutowym, noszone przez jednego z profesorów. Na pierwszem piętrze dostajemy się przez barykady z biurek amerykańskich i szaf z niezmierzonemi ilościami papierów i ksiąg nowoczesnej biurokracji do sali Rektoratu, której środek zajmuje największy chyba w Krakowie stół okrągły, z olśniewającą wzorzystą powierzchnią, tak gładką, że papiery pchnięte w właściwym kierunku, mogą przez cały ogromny krąg sunąć jak po lodzie do obranego punktu. Papiery i jeszcze papiery!...

Jakże inaczej wyglądał ten sekretarjat lat temu czterdzieści! W miejscu ścian szklanych, oddzielających od interesentów biurka, przy których dzisiaj pisze czterech urzędników, stał nawpół zapadnięty stół (jadalny), zasłany suknem poplamionem atramentem, obstawiony krzesłami wyplatanemi trzciną o wysokich oparciach. Na boku wysiedziana otomana. W tej ramie urzędował sekretarz Szkoły i zarazem osobisty sekretarz Matejki Gorzkowski; na plecach zarzucony pled, a na kolanach księga wpisów uczniowskich. Jeszcze księga protokołów z posiedzeń, i na tem może koniec... Ale zato na iluż obrazach Matejki widać tę twarz półkozacką kresowego szlachcica, czy to kiedy spisuje proroctwa Wernyhory, czy kiedy ze szpadą w ręku i butach rajtarskich robi zabitego pułkownika rosyjskiego (w Kościuszce pod Racławicami).

Przy stole sekretarskim stał fotel z czarnej skóry, na którym siadywał Matejko, przewodnicząc ówczesnym posiedzeniom grona profesorskiego, fotel do dziś dnia zachowany w Akademji jako relikwja ze stosownym napisem na złoconej blasze; na ścianie wysoko wisiał biust Franciszka Józefa.

I tak weszliśmy w przeszłość! Jakże już trudno rozeznać się w tych miejscach nawet tym, którzy za młodych lat dobrze je znali. Sale drugiego piętra, niegdyś zgóry oświetlone, podostawały sufity, bo ponad niemi wzniosło się trzecie piętro. W ten sposób i dawna pracownia Matejki, przemurowana ścianą zmniejszyła się i stała się zwykłą salą pracownianą, oświeconą dużem bocznem oknem, wychodzącem na dziedziniec. Pamiętam ten wstępny pokój, w którym mistrz przyjmował. Na wyszurowanych na biało deskach miękkiej podłogi stały foteliki z cynobrowego sukna, a „stary dyrektor“, jak sam siebie nazywał, siedział w kapeluszu panama z szerokiem rondem, aby światło spadające zgóry nie raziło oczów. Palił papierosy, zwijane przez siebie w bibułki, ofiarowywał je gościom swoim naturalnie nie zalepione, palce miał mocno zażółcone od dymu. Był poważny, a wrazie potrzeby gromiący jak np. przy rozpoczęciu dekoracji kościoła Marjackiego, kiedy ówcześni jego majsterszulacy zaczęli anioły matejkowskie malować na ścianie „po monachijsku“ plamami. Był wyrozumiały i uznawał pragnienia u młodych szerszego horyzontu; nie stawiał też przeszkód wyjazdowi ich zagranicę; brał ich w obronę, kiedy z Paryża przysyłali studja krytykowane mocno przez profesorów i podpisywał im stypendja, mimo, że fundacyjnie związane były ze szkołą krakowską.

Kraków czcił mistrza, dał mu berło, i urządził królewski jubileusz, pracownię jego odwiedzała ówczesna elita starych rodów i inteligencji, Modrzejewska siedziała na schodach, czekając na jego przyjście, cesarz austrjacki, a później następca tronu z żoną odwiedzili jego pracownię, i dostali obraz w podarunku, papież dziękował za Sobieskiego i błogosławił, krytycy wypisywali bezsensowne adoracje... Aż się urwało. Kraków zburzył zabudowania św. Ducha, które Matejko chciał ocalić, dostał też z powrotem odrzucone przez niego obywatelstwo honorowe. Rok szkolny otwierał Matejko przemówieniem, ciężkiem w formie, patrząc na sztukę ze swego stanowiska jako malarz „swoich królów“, jak mawiał. Profesorowie obstępywali go wtedy kołem, a na ich czele stary Łuszczkiewicz, najwymowniejszy z nich, przyświadczał głośno dyrektorowi w kulminacyjnej chwili przemówienia.

O majsterszulach i ich produkcji pisał Stanisław Witkiewicz, o tych kostjumowych pochodach i wjazdach, które się tam malowały. Ale duch budził się już nowy, i Bronowice zaczęły zaludniać na kraciasto płótna.

Na młodszych kursach przesunęła się krótka wizja młodziutkiego Wyspiańskiego. Pamiętam jak wzruszonym głosem, z polotem i patosem mówił powinszowanie imieninowe Łuszczkiewiczowi, którego ustawiono na tle wymalowanej w tym celu na papierze architektury renesansowej, zajmującej całą ścianę sali, (ponieważ wykładał „style“). Naturalnie badacze musieli o Wyspiańskim powiedzieć, że wedle recepty obowiązującej w tym wypadku geniusze, nie sympatyzował ze swymi nauczycielami i „nie lubił“ Łuszczkiewicza. Tak szybko ginie żywy człowiek a robi się papier...

Przy okazji nauki o stylach jeździły uczniowskie wycieczki po kraju i poznawały i rysowały zabytki rodzimej architektury; otwierał się też przed niemi świat prowincji polskiej, świat proboszczów, szlachty, chłopów i żydów. Ileż panien i panienek przesunęło się wtedy korowodem, który zostawał w pamięci jako zahaftowany uroczemi barwami szlak, po którym wędrowała młoda wyobraźnia.

Ale widocznie trzeba było, aby pestki, tkwiące wewnątrz owocu wyszły na wierzch i spełniły rolę nasienia: owoc pękł, Matejki brakło, szkoła musiała być przenicowana, z dodatkiem nowego, zagranicznego materjału.

Przyszedł Fałat i ludzie z początku oczom nie wierzyli: na takie stanowisko! Ktoś wprawdzie znany za granicą, przyjaciel młodości Wilhelma pruskiego, ale nie mający należytego balastu. Przy tem „akwarelista“ na dyrektora Akademji! Pracownia Matejki została pomalowana na zielono, aby głowy modeli odcinały się jakby na tle lasu. W pokoju wstępnym, w którym stały niegdyś foteliki cynobrowe z galonami, odbywały się czasem bujne, koleżeńskie zebrania z kolacją i starym węgrzynem. Dyrektor mówił do młodszych od siebie artystów „jesteście wielcy mistrze“, uczniom stawiał przed oczy w nieokreślonym meandrze swojej nieuchwytnej elokwencji postać niedościgłej sztuki, wielkiej sztuki.

W tym czasie dawna Szkoła Sztuk Pięknych stała się Akademją; na akcie inauguracyjnym rozbrzmiewała klasyczna i rzeczywiście wytworna niemczyzna w ustach ministra, znakomitego uczonego i profesora, który przyjechał umyślnie z Wiednia. W rozmowie z profesorami wyraził się: „gdybym to mógł mieć taką akademję w Wiedniu“. Fałat w mundurze dyrektorskim, ze złotym lampasem na spodniach i złotym kołnierzem, przy szpadzie, w mowie swej do ministra skierowanej, wzruszony, podniósłszy rękę przysięgał, że wszystkie siły swe odda sztuce i Akademji. Wielki i szczery artysta, dobry człowiek, którego temperament eksplodował jak chciał i kiedy chciał.

Zabliskie to są czasy, aby o nich mówić ze szczegółami nazwisk. Akademja kipiała, dzieła dzisiejszych jubilatów polskiej sztuki szły w nieustannym zawrotnym tańcu przez dziesiątki stolic europejskich, paki z obrazami i rzeźbami przychodziły i odchodziły w świat daleki, kordony dzielące Polskę zdawały się nieistnieć, Warszawa i Kraków szły ręka w rękę. I szybko znowu odwróciła się karta.

Niewiadomo już dzisiaj dla jakiego marnego powodu wybuchł strejk uczniów, podsycany zapewne z zewnątrz. Pojechano w deputacji do Wiednia do ministerstwa, dobrawszy sobie do pomocy posłów socjalistycznych. Parlamentaryzm i życie partyjne kwitnęło wtedy w Austrji w całej mocy, w ministerstwie wiedeńskim obecność posłów wywarła efekt, Fałata zdezawuowano, gazety wymyślały na niego co wlezie i Fałat odszedł. Akademja z dyrektorem na czele zamieniła się na akademję z obieralnym rektorem, w szopce Zielonego Balonika zjawił się „rectus magnificus“ w płaszczu gronostajowym.



Szalona metamorfoza ideałów i dążeń w sztuce. Młody uczeń, który nie umie nic, zaczyna malować z natury modela, ale na sztaludze przyczepia sobie fotografję z obrazu jakiegoś en vogue Paryżanina, nie wiem czy rodowitego, jako instruktywny wzór, mający go nauczyć jak patrzeć na naturę! Świeżo przeczytał w jakimś miesięczniku zawrotny artykuł o tym zagranicznym mistrzu pióra pisarza pochodzącego z międzynarodowej rasy.

O czasach ostatnich trudno mówić, bo to chwila próby, wysiłków i odmawiania sobie nieraz prawdziwych potrzeb.

Nie mogę jednak oprzeć się aby nie wymienić incydentu, który odegrał w życiu Akademji pewną rolę, mógł zaś odegrać ją w rozmiarach trudnych nawet dzisiaj do określenia.

W r. 1924 była w tych murach uroczystość: Głowa Państwa, Prezydent Rzeczypospolitej zainaugurował osobiście powstanie Instytutu Sztuk Pięknych. Nikt temu instytutowi nie dał złamanego grosza, prócz tego, co sami powołani przez Akademję członkowie na pierwsze potrzeby złożyli. Wybrano członków rzeczywistych, zamianowano członków korespondentów, utworzono sekcje. Były zebrania i odczyty i co najważniejsza, zaczęto wydawać organ Instytutu, miesięcznik może najpoważniejszy w Polsce, wychodzący dotąd, a więc od lat już dziewięciu.

Ale pieniędzy nie było, nawet na listy i wszelka inicjatywa musiała zamrzeć. Instytutu tego nikt nie skasował, co nieprzeszkadza, że plastycy polscy na zjeździe w Krakowie w r. 1932 domagali się założenia nowej Akademji czy Instytutu. Nie powiem, aby nici, któremi się szyje płaszcz królewski kultury polskiej były zbyt mocne!

Kalejdoskop ruszony przezemnie skończył swą czynność. Może dobrze, że przesunęły się migawkowo te epizody; gdzieindziej nie napotka się takich właśnie i ta odrębność jest siłą artyzmu, która już wiele zrobiła w przeszłości i może jeszcze niejednego dokonać.

Akademja Sztuk Pięknych rzadko się odzywa. Dzisiaj opowiedziała przez moje usta jaką jest i jaką była. Smutno bywa tym, którzy mówią o sobie, nie spotykając w słuchaczach odpowiedniego odruchu. Jesteśmy naogół narodem nieruchomym i nie hazardującym słów i gestów, zwłaszcza gestu uznania i wdzięczności. Lubimy żeby to zrobił kto inny.

Ja z mej strony chciałem w czasach, w których ogół zamyka się w kręgu swych własnych trosk, planów i zamiarów, obudzić zainteresowanie instytucją, na którą patrzyłem jako uczeń, której wysiłki i rezultaty oglądałem i brałem w nich udział, i która od przeszło 100 lat związana jest z Krakowem. Przez ten czas była bardzo żywą częścią jego życia.

Jakaże radością byłoby przeświadczenie, że gdzieś niedaleko znajdzie się ręka wyciągnięta do przyjaznego uścisku.

KAZIMIERZ SICHULSKI
PROF. AKAD. SZTUK PIĘKNYCH

OPOWIEM WAM NA UCHO...



Karykatura prof. Laszczki.

Mam pisać o karykaturach, których tyle w mojem życiu popełniłem! Przebaczcie mi ofiary, już nigdy więcej... Nie — przechodziłoby to moje siły, nie mogę — wprost niepotrafię się wyrzec rozwiązywania problemów formy — mniej lub więcej udatnie, formy we wszystkich jej przejawach, a więc czy to w określeniu człowieka, zwierzęcia, czy ornamentu, dekoracji, czy też sztuki t. zw. stosowanej! Zdolności plastyczne przejawiają się w dwóch zasadniczych zupełnie równorzędnych rodzajach: można wypowiadać się plamą barwną lub formą dość szablonowo zwaną „rysunkiem". Właśnie ten drugi rodzaj ze specjalnem uwzględnieniem karykatury pragnę tu po części w miarę możności zanalizować.

Charakteryzowanie zjawisk, polega na silniejszem podkreślaniu zaobserwowanych cech istotnych, czego wynikiem dalszym będzie pewna przesada, co doprowadzić musi do karykatury, która powinna uderzać trafnością i bardzo często, choć nie nieodzownie, humorem. Wiadomo zaś, że humor polega na zaskoczeniu nas czemś zgoła nieoczekiwanem, ale trafnem. To żonglowanie formą z zachowaniem jednak ogromnej ścisłości i logiki tam, gdzie tego potrzeba, zaś lekkości i szerokiego rozmachu w nieoczekiwanem puszczeniu wodzy bujnej fantazji, uważałbym za definicję karykatury artystycznej. Powinna to być synteza najistotniejszych cech danego objektu — niekoniecznie człowieka, bo i budynku, pejzażu zwierzęcia itd., lecz pod warunkiem, że będzie to z taką siłą wyrażone, że większość ludzi na to się zgodzi, tak samo ujrzy i przemówi im to do przekonania. Dobrych karykatur jest wogóle mało i rzadcy są artyści, mogący w tej dziedzinie stworzyć coś naprawdę dobrego. Największem uznaniem cieszą się niekoniecznie najlepsze rzeczy w tej dziedzinie, zaś karykatury dobre, będące zawsze wynikiem dużej pracy i wielkiego wysiłku twórczego przechodzą często niezauważone. Tak to i w tym kierunku może artysta spotkać się z niezrozumieniem, a co gorcza, nawet z pewnym lekceważącym uśmieszkiem, bo gdzie to „karykaturze" do poważnej sztuki...

Niesłychany rozwój fotografji czasów ostatnich wywołał duży przewrót w plastyce. Gorączkowe poszukiwanie form, wytworzyło chaos i nieporozumienia. Jasne jest, że kiepski portret „ręcznie malowany" zastąpi o wiele lepiej dobra fotografja, ale dobrej karykatury nic nie zastąpi!

Te, że się tak wyrażę językiem matematycznym „warjacje" i „permutacje" formy znajdują w karykaturze pełne zastosowanie, wywalczając temu rodzajowi wypowiedzenia się artystycznego należne, a bardzo zaszczytne miejsce.



Karykatura prof. Dunikowskiego.

PIERWSZY REKTOR.

Prof Axentowicz jest dziś przysłowiowym „nestorem sztuki polskiej". Jest także powszechnie znany, jako najwytworniejszy malarz wytwornych kobiet. Nie wszyscy jednak wiedzą, jak wielkie zasługi położył on około Akademji Sztuk Pięknych i że był jej pierwszym rektorem w r. 1910.

Prof. Axentowicz kształcił się w Paryżu i Monachjum. W pierwszych latach swojej twórczości zajmuje go malarstwo historyczne, wkrótce jednak porzuca je, aby poświęcić się w zupełności portretowi kobiecemu i w tej właśnie dziedzinie dochodzi do szczytów mistrzostwa. Jeszcze jeden motyw przewija się przez całą sztukę Axentowicza, to wspomnienie jego stron rodzinnych „Święto Jordanu", typy zgrzybiałych starców w pożółkłych kożuchach i zamotane w chustach, dziewczęta na tle śnieżnych pejzaży. Sztuka prof. Axentowicza jest piękna... Piękna i wytworna.

CZARNO BIAŁA MAGJA.



Na kursie graficznym prof. Wojnarskiego.



Przy prasie graficznej. Pierwszy od prawej prof. Wojnarski.

ZDJĘCIA AG. FOTOGRAFICZNEJ „SWIATOWID“.

Naprawdę jest coś z magji, czy czarnoksięstwa w tym kunszcie czarno-białym. Pracownia graficzna przypomina obraz kuchni alchemika średniowiecznego. W półmrocznem wnętrzu świecą jedynie matowe szyby, nachylone ukośnie nad stołami. Na ich tle rysują się sylwety pracujących...

Oczy wlepili w małe płyty metalowe, czy klocki z drzewa, niezawodna ręka wsparta na pulpicie, ściska rylec czy dłóto. W jednym kącie kąpie w kwasie złotą, miedzianą płytkę młody uczeń, w drugim umorusany student rozwałkowuje troskliwie farbę drukarską na kamieniu. Ponad wszystkimi króluje ogromne koło prasy... Prasa czeka...

Przez otwarte drzwi widać w sąsiedniej sali bloki kamieni litograficznych, ułożone pod ścianą... W pracowni panuje cisza, przerywana tylko czasem ostrym zgrzytem szlifierki.

* * *

Grafika nie jest bynajmniej młodą gałęzią sztuki. Ma za sobą wieki pracy i triumfów, ma genjalnych przedstawicieli, twórców, których imiona zna każdy a jednak... zdarza się to nawet dość często...

Tak, nawet „znawcy“, nawet „wysoko postawieni“, pytają się niespodzianie na wystawie grafiki: poco wystawia się te „druki“, te odbitki.

Nie rozróżniają mechanicznej reprodukcji od pracy rąk artystów.

* * *

W piosence malarskiej, napisanej przez Boy'a z czasów Zielonego Balonika, śpiewają wesoło malarze na melodję „Czerwonego sztandaru“: Grafiki niema w salach gnój...

Młoda Polska rozpoczęła walkę o grafikę na Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie za czasów panowania Fałata, który, jak to mówią, „wszystko przefałacił“... I walkę tę wygrała. Czarno-biała sztuka zwyciężyła.

Pierwszym profesorem grafiki był na Akademji Leon Wyczółkowski, dziś jeden z największych grafików świata. Zasoby i środki nowej placówki były zaprawdę bardziej niż skromne. Do dziś krążą opowiadania o jednej jedynej legendarnej szmacie do ścierania farby z płyt, o którą staczał walki cały kurs... A kurs się powiększał... uczniów coraz to przybywało... Szmata została. Po Wyczółkowskim obejmuje stanowisko Pankiewicz, który przywozi ze sobą z Paryża kunszt i subtelność Zachodu. Niedługo jednak tęsknota za stolicą świata pociąga go z powrotem do Paryża i stanowisko swoje i pieczę nad uczniami zostawia profesorowi Wojnarskiemu, który do dziś prowadzi ten dział.

Otóż dotarliśmy do sedna rzeczy. To jest właśnie ten niestrudzony alchemik, czy mag, nieustający w tajemniczych doświadczeniach. Lata całe ślęczy nad nowym lakierem, czy kwasem... rzuca wszystko w kąt, aby już następnego dnia powrócić znowu z młodzieńczą naprawdę energją do rozpoczętego doświadczenia.

Z jakąż radością oddaje wreszcie prof. Wojnarski w ręce uczniów swoje wynalazki, z jakąż troskliwością czuwa nad każdem ich doświadczeniem.

* * *

Z końcem każdego roku szkolnego odbywa się na Akademji krakowskiej wystawa prac uczniów. Wszystkie ściany pracowni wytapetowane są poprostu od góry do dołu barwnemi plamami obrazów. Jest wesoło, bajecznie kolorowo.

W jednej tylko niedużej sali wiszą na ścianach czarne i niepozorne obrazki... To grafika. Publiczność jednak zatrzymuje się w tej sali i ogląda pieczołowicie te prace. Ogląda te mozolne a jakież piękne dzieła.

J. Sz.

Było to w roku 1902. Na otwarciu jednej z wystaw w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych zdarzył się niezwykły wypadek. Niedzielna publiczność zatrzymała się w jednej z sal przed ogromną rzeźbą przedstawiającą splot ciał lecących w otchłań z rozkrzyżowanemi rękoma. — Nagle postacie poruszyły się, jakby pchnięte niewidzialną siłą i runęły z łoskotem na posadzkę. Wśród zdruzgotanych kawałków gipsu i desek rusztowania leżała kartka z nazwą dzieła: „Beznadziejność“ i nazwiskiem autora Xawerego Dunikowskiego.

Młody autor ukończył krakowską Akademję Sztuk Pięknych ze złotym medalem. Profesorowie wróżyli mu wielką przyszłość, ale życie jakby naprzekór wróżbom, trudy tylko słało przed artystą... Ciężki los nie zdołał zniweczyć wielkiego talentu artysty, ale wyrył na nim piętno smutku i zamyślenia...

„Beznadziejność“ runęła, grzebiąc jakoby symbolicznie pod swojemi gruzami złą wolę i znowu ręce rzeźbiarza do pracy nawykłe kuć zaczęły cały korowód postaci.

Na wystawach Krakowa i Warszawy ukazują się kolejno dzieła Dunikowskiego: „Przedświt“, „Wspomnienie“, Dwoistość“, „Mężczyzna i kobieta“, Człowiek” a wreszcie w r. 1906 „Kobiety brzemienne“, które wywołały niemało hałasu i dyskusyj.

Jest w dziełach Dunikowskiego jakaś niesamowita dostojność, moc bólu, zakrzepłego w formę. Patrzymy na te hieratycznie wychudłe, a jakże zmysłowe postacie... Długo nie możemy zapomnieć spojrzenia ich oczodołów.

* * *

Dunikowski już na parę lat przed wojną jest profesorem Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Wkrótce jednak wyjeżdża do Paryża i tam w czasie wielkiej wojny tworzy serję swoich wspaniałych portretów kobiecych. Po powrocie do kraju mianowany profesorem Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, poświęca się całą duszą pracy nad kształceniem młodego pokolenia artystów.. Zna dobrze dolę i niedolę młodych... Jest dla swoich uczniów przyjacielem.

Kraków może się poszczycić, że tutaj właśnie powstają w ciągu ostatnich lat prawie wszystkie monumentalne dzieła Dunikowskiego: „Projekt pomnika Bolesława Śmiałego“, „Fronton kościoła Jezuitów“, „Czterej Apostołowie“ dla Seminarjum śląskiego“, wreszcie „głowy wawelskie“...

* * *

Odwiedzamy pracownię prof. Dunikowskiego dla dokonania zdjęć. Artysta wchodzi ubrany w futro i ogromną czapę. Tej właśnie nocy wrócił z Moskwy z wystawy sztuki polskiej i opowiada o ogromnem wrażeniu, jakie wywołała sztuka polska w Sowietach. Spacerując po pracowni, zatrzymuje się nagle przed pracą jednego z uczniów. Powinien jeszcze pracować — mówi Dunikowski — na kamień ma czas... zaczyna tłumaczyć... radzić. Uczniowie otaczają go w koło, słuchając, wpatrzeni w ukochanego mistrza...

Dunikowski jest w swoim żywiole. Nie szczędzi słów, bo też i warto potrudzić się dla nich, młodych i zdolnych. Dla tych zapaleńców, gniotących glinę, czy kujących kamień, umorusanych, w poplamionych fartuchach, patrzących jasnemi oczyma, w jasną przyszłość.

Rośnie i kształtuje się pod ręką mistrza dla Polski nowe pokolenie rzeźbiarzy. Nie dla zabawy ponoszą oni trud i niejednokrotnie niedostatek, ale dla tej wiary, że tworzyć będą kiedyś prawdziwe dzieła sztuki.

Jest dla tych młodych Dunikowski wzorem niedoścignionym a jego życie i praca jest wytyczną tej drogi, po której dojść można i trzeba do sztuki i sławy.

Jan Szancer.



Uczniowie prof. Dunikowskiego przy pracy nad rzeźbą w kamieniu i drzewie.

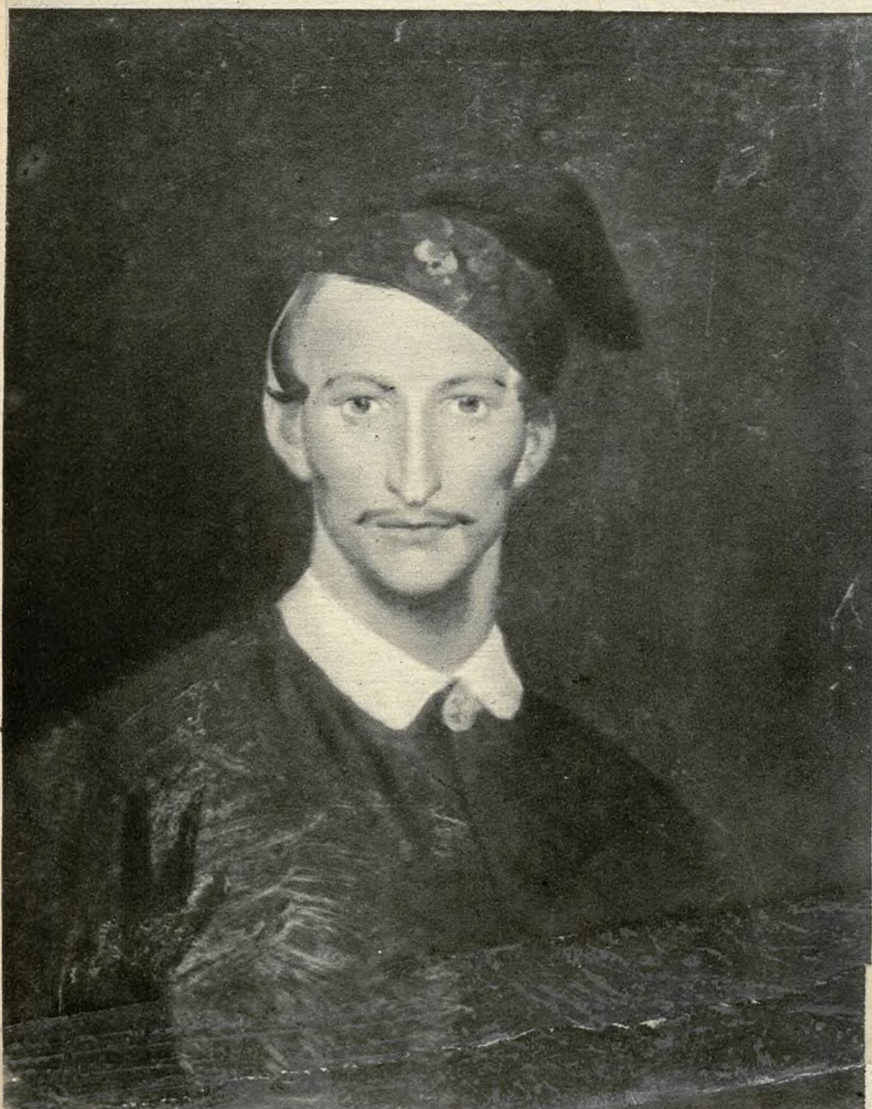


Prof. Xawery Dunikowski, stojący na rusztowaniu obok rzeźby przedstawiającej biskupa śląskiego Lisowskiego.

ŻYWE KAMIENIE.

Rzut oka na wnętrze szkoły rzeźbiarskiej prof. Dunikowskiego.

GROTTGER POD SKRZYDŁAMI KRAKOWA.



Genjalny wizjoner Artur Grottger kształcił się w krakowskiej szkole Sztuk Pięknych od października 1852—1854 r. pod kierunkiem Wojciecha Stattlera, a głównie prof. Władysława Łuszczkiewicza. Dotąd zachowała się fotografja, przedstawiająca grupę uczniów i profesorów, wśród których widać młodziutkiego Wyspiańskiego, Matejkę i wielu innych znanych malarzy. Po krótkim pobycie we Lwowie, uzyskawszy stypendjum cesarskie, przenosi się Grottger do Wiednia, gdzie przebywa do maja 1858 r. W tym roku widzimy go znowu w Krakowie. Z tego starego miasta wyniósł on umiłowanie Polski. Miłość też ojczyzny jest głównym motywem jego twórczości, która po 1863 r. ujawnia się w nieśmiertelnych cyklach „Lituanja", Warszawa", „Polonia", „Wojna" itd.

OD PRACOWNI DO PRACOWNI



Ignacy Pieńkowski ma osobną kartę w dziejach nowoczesnego malarstwa polskiego, jako artysta sumienny, obdarzony dużem poczuciem koloru. Jego wystawy malarskie odniosły ogromny sukces w Paryżu. Należy on do mistrzów martwych natur. Prowadzi w Akademji ogólny kurs rysunków i pracownię malarską.



Sędziwy mistrz Laszczka (na lewo w czapce futrzanej) jest wypróbowanym pedagogiem, który z wielką systematycznością daje wskazówki swoim uczniom i dba o techniczne wykonanie rzeźby. Dzielnie w tej pracy pomaga mu Stanisław Popławski (drugi od prawej), asystent, ceniony artysta-rzeźbiarz.



Posiedzenie Rady Pedagogicznej Akademji Sztuk Pięknych. Siedzą od prawej: pp. prof. Karol Frycz, Xawery Dunikowski, Józef Mehoffer, Fryderyk Pautsch, rektor Wojciech Weiss, Konstanty Laszczka, Teodor Axentowicz, Ignacy Pieńkowski, Stanisław Kamocki, Jan Wojnarski i Władysław Jarocki.

Rycerze okrągłego stołu.

Wokół okrągłego stołu usiedli dziś na groźną naradę najwybitniejsi dziś artyści Polski. Rozważać mają sprawy dobra Akademji, sądzić i nagradzać uczniów. Nie lękają się jednak tych obrad uczniowie, bo wiedzą, że wszyscy profesorowie odnoszą się do nich z ojcowską miłością i że słowa i sądy, które tu padają, są tylko dla ich dobra. Obradom przewodniczy rektor Weiss, a nad nim widnieje popiersie Jana Matejki, który jakby roztaczał opiekę nad wszystkimi obecnymi i dodawał im sił i dobrej rady dla rozstrzygnięcia ciężkich niejednokrotnie kwestyj. Bo jakże nieraz trudno jest zwolnić poprostu wszystkich uczniów od czesnego, którymby się to należało. Akademja wtenczas pozbawiona byłaby zupełnie dochodów. Jakżeż nagrodzić wszystkich uzdolnionych, gdzie ich jest aż tylu. Zamyślili się więc profesorowie i zamyślił się sekretarz siedzący w głębi przy stole, wyczekujący na ważkie decyzje.

PTAKI Z JEDNEGO GNIAZDA.

Wymienić wszystkich artystów, którzy są związani z Krakowem a specjalnie z Akademją Sztuk Pięknych, którzy byli bądź jej uczniami, bądź profesorami i którzy w mieście tem rośli, czerpali natchnienie i zostali pasowani na malarzy, znaczyłoby napisać historję polskiego malarstwa.

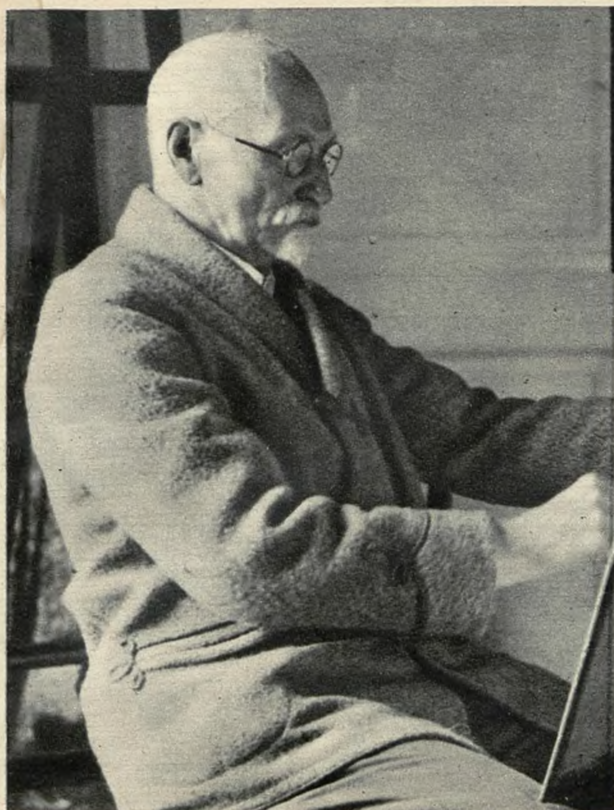
Jest ich legjon, począwszy od największych, od tych, co jak meteory rozbłyśli na firmamencie sztuki polskiej i stanowią kamienie milowe jej rozwoju, aż do nieznanych żołnierzy rzemiosła malarskiego, którym nie starczyło sił na loty podniebne.

W XIX-tym wieku Kraków panuje niepodzielnie w sztuce malarskiej. Wytrzymuje nawet konkurencję z Monachjum, które w latach siedmdziesiątych stanowi centrum życia artystycznego całej Europy.

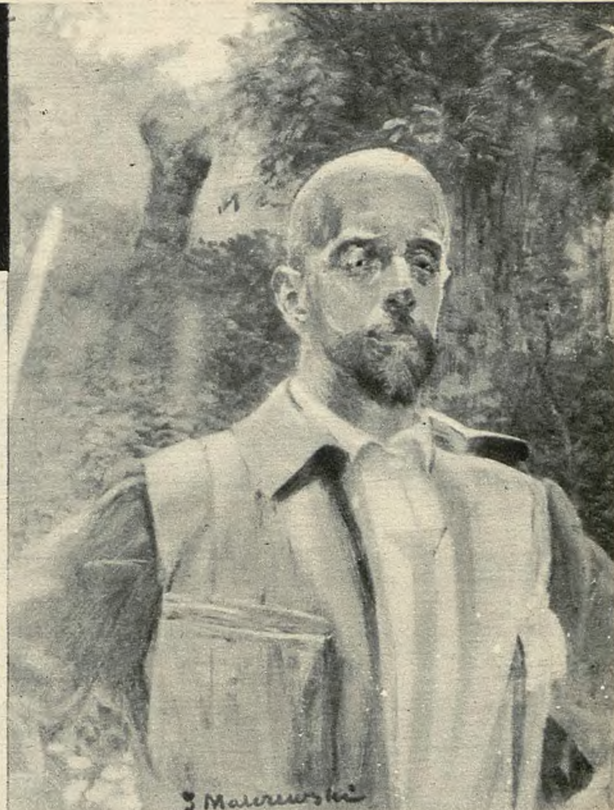
Potem przychodzi supremacja Paryża.

Ale choć zmieniają się kierunki w sztuce i upodobania, Kraków dotrzymuje kroku nowym prądom, odradza się i nie kapituluje. Z wyjątkiem Chełmońskiego wszyscy najwięksi malarze doby wczorajszej i dzisiejszej poczęli się z Krakowa i z tego gniazda wyszli.

Rzut oka na rozmieszczone obok fotografje przekonywa nas o tem. Nazwiska weteranów malarstwa polskiego, którzy do dziś dnia jeszcze są czynni w Akademji, mówią nam o tem. *J. L.*



LEON WYCZÓŁKOWSKI.
Urodzony w 1852 r. w Warszawie. Uczeń Matejki. W 1895 r. mianowany profesorem Akademji. Genjalny wirtuoz, którego płótna mają w sobie posiew nieśmiertelności. Pomimo, że przekroczył już ośmdziesiątkę, ciągle czynny i młody, zarówno jako malarz, jak i grafik. On i Stanisławski, to ojcowie polskiego pejzażu. Mieszka w Poznaniu.



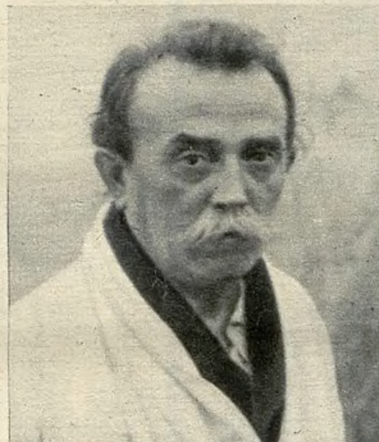
JACEK MALCZEWSKI.
Urodzony w 1855 r. w Radomiu. Uczeń Łuszczkiewicza i Matejki. Od r. 1895 r. profesor Akademji. Stworzył w malarstwie swój własny styl, pełen renensansowego rozmachu. Najpopularniejszym jego obrazem jest „Śmierć Elenai". Umarł 1929 r. w Krakowie. Pochowany w Grobach Zasłużonych na Skałce.



JÓZEF CZAJKOWSKI.
Urodził się w 1872 r. w Warszawie. Studjował w Monachjum i w Paryżu. Przez dłuższy czas przebywał w Krakowie, będąc profesorem architektury wnętrza na wydziale arch. Akad. krak. — Obecnie czynny jako profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Należy do założycieli „Sztuki" i „Polskiej sztuki stosowanej".



STEFAN FILIPKIEWICZ.
Urodzony w 1879 r. w Krakowie. Kształcił się w Akademji od 1901 r. pod kierunkiem prof. Cynka, Mehoffera, Stanisławskiego i Wyczółkowskiego. Wystawia od roku 1903. Jest profesorem Akademji, gdzie prowadzi rysunek wieczorny. Z umiłowaniem maluje wieś polską. Mieszka w Krakowie.



VLASTIMIL HOFMANN.
Urodzony w 1881 r. w Karlinie w Czechosłowacji. Studjował w krakowskiej Akademji w latach 1896—1899 pod kierunkiem prof. Cynka, Stanisławskiego, Malczewskiego i Wyczółkowskiego. Wystawia od 1902 r. Najwierniejszy to uczeń i czciciel Jacka Malczewskiego. Mieszka w Krakowie.



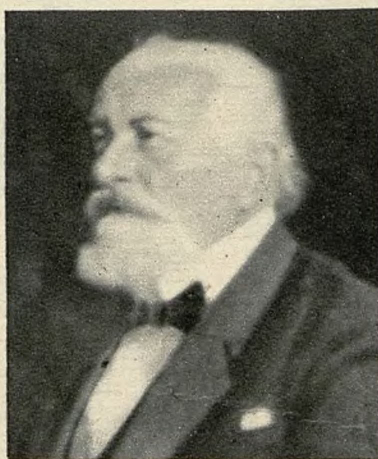
WOJCIECH KOSSAK.
Urodzony w 1857 r. w Paryżu. Studjował w Monachjum i w Paryżu. W 1884 r. przybywa do Krakowa, gdzie pracuje przy boku ojca Juljusza. Znakomity malarz batalistyczny, świetny portrecista. Z Krakowem jest nierozerwalnie związany. Mieszka w Krakowie. Obecnie pracuje nad olbrzymim obrazem, przedstawiającym rewję na błoniach.



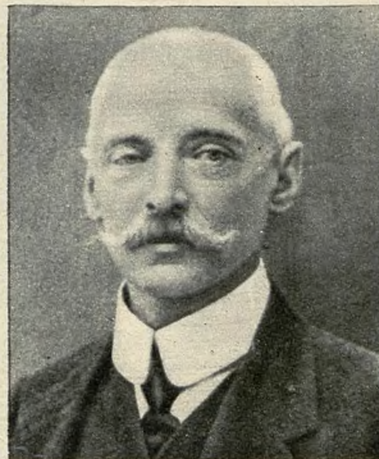
ANTONI MADEYSKI.
Urodzony w 1862 r. w Fóśni Sielskiej na sowieckim Wołyniu. W 1883 r. wstąpił do Akademji krakowskiej i studjował pod Szynalewskim, Jabłońskim i Łuszczkiewiczem. Znakomity rzeźbiarz, twórca sarkofagu Jadwigi na Wawelu i najlepszego biustu Matejki. Wystawia od 1885 r. Przebywa w Rzymie.



WŁADYSŁAW SKOCZYLAS.
Urodzony w Wieliczce pod Krakowem w r. 1883. Kształcił się w Wiedniu i Krakowie, uczeń Akademji. — Obecnie profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Zajmował stanowisko dyr. departamentu sztuki. — Świetny grafik i pejzażysta. Wybitnie zasłużony dla propagandy sztuki polskiej za granicą, organizator wystaw międzynarodowych, laureat olimpijskiego konkursu sztuki.



JAN STYKA.
Urodzony w 1858 r. we Lwowie. W Krakowie pracował przez trzy lata od 1882 r. pod kierunkiem Matejki. Posiada światowy rozgłos. Wystawia od 1880 r. Przez dłuższy czas przebywał w Paryżu i w Rzymie. Na Capri posiadał własną pracownię, dziś Muzeum Styki. Zmarł w 1925 r. Zapoczątkował dynastję malarską Styków. Syn jego Tadeusz maluje Wschód a Adam jest portrecistą.



WŁODZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.
Urodzony w r. 1862 w Harklowej na Podhalu. Uczeń Łuszczkiewicza i Cynka. — Działacz niepodległościowy, organizator Legjonów i poseł do parlamentu wiedeńskiego, autor historycznej rezolucji Koła Polskiego o potrzebie utworzenia niepodległej Polski z dostępem do morza. Zmarł w 1923 r. w Krakowie.



HENRYK UZIEMBŁO.
Urodzony w 1879 r. w Myślachowicach (woj. krakowskie). Uczeń Axentowicza, Wyspiańskiego i Stanisławskiego. Kapitalne ujęcie tematów łączy z ogromną brawurą malarską. W czasie wojny malował dużo na froncie. — Jest profesorem krakowskiej Szkoły sztuk zdobniczych. Posiada duże zasługi dla rozwoju sztuki dekoracyjnej.



WINCENTY WODZINOWSKI.
Urodzony w 1866 r. w Igołomji (woj. kieleckie). Od roku 1880—1881 w Krakowie, jako uczeń Gersona, Jabłońskiego, Łuszczkiewicza i Cynka. Jego obraz „Na swojską nutę" należy do najpopularniejszych w Polsce. — Malarz ludu polskiego, działacz niepodległościowy i legjonowy. Mieszka w Krakowie.

NA CHŁODNO I GŁODNO.



„Cyganerja", Pierwszy film na tle życia uczniów Akademji Sztuk Pięknych, nakręcany w Krakowie wedle scenarjusza pp. Szancera i Grotowskiego, realizacja p. Szwedo. Na zdjęciu uczeń, malujący na plantach.



Uczniowie prof. Kamockiego na studjach plenerowych we wsi podkarpackiej. Humor nie opuszcza ich, choć pustki w kieszeni.



W bratniaku Akademji. W pośrodku profesor Laszczka.



Przy stole w bratniaku.

Pamiętam, że kiedy raz jednego z bezdomnych uczniów Akademji Sztuk Pięknych posądzonego o włóczęgostwo i zapytano na komisarjacie, gdzie mieszka, ten zapytał wesoło komisarza: Wczoraj, dziś, czy jutro, panie komisarzu? Kryzys panoszący się ogólnie nie dotknął ani jego, ani innych artystów krakowskich, bo ci zżyli się z nim od dziecka. Niedostatek jest ojcem twórczości artystycznej. Tak było od wieków, tak jest i dziś. Należy podkreślić, że Kraków nie jest najgorszem środowiskiem dla życia artystycznego, bo społeczeństswo rozumie niejednokrotnie potrzeby młodych i idzie im z pomocą. Zdarza się nawet, że czasem jakiś szalony dobroczyńca kupi obraz. Naturalnie zdarza się to bardzo rzadko. Mimo to uczniów Akademji Sztuk Pięknych nie opuszcza humor, chociaż stypendja warszawskie i inne subwencje jakoś bardzo ciężko trafiają do Krakowa. Jedyną więc ostoją dla młodzieży, studjującej na Akademji, jest stworzony przez nich własnemi siłami „Bratniak". Jest to instytucja, rzecz prosta, tak jak inne bratniaki uniwersyteckie, mająca na celu samopomoc. Jest ona jednak także rodzajem klubu towarzyskiego, w którym zbierają się młodzi i źródłem nigdy niewyczerpanego humoru malarskiego. Mieści się ten piękny lokal w podziemiach Akademji Sztuk Pięknych, w sklepionej, jakby klasztornej piwnicy. Ściany udekorowane pięknie a wesoło przez uczniów, dają znakomite tło do wesołych wyczynów i wszelakich zabaw. Obok mieści się nieduży pokoik, w którym zarząd „Bratniaka", złożony z młodocianych mężów zaufania, obraduje nad wspólną biedą i tanimi obiadami dla kolegów. Często jednak brak funduszów nie pozwala na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb życiowych młodzieży...

Ale oni są młodzi, młodzi i pełni wiary w przyszłość. Wierzymy, że z tej Akademji, tak jak dawniej, tak i teraz wyjdzie cała falanga nowych talentów, które zadziwią Polskę, a może i świat cały swoimi dziełami. Bo w młodych tych żyje duch walki ze starymi przesądami i dążenia do nowych prawd.



Rolę pośrednika pomiędzy publicznością a artystami krakowskimi spełnia Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, posiadające własny gmach na pl. Szczepańskim w Krakowie. — Towarzystwo to zajmuje się także sprzedażą obrazów, przychodząc w ten sposób z pomocą artystom,



Artur Schröder, zasłużony literat, obrońca Lwowa, dyrektor Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie.

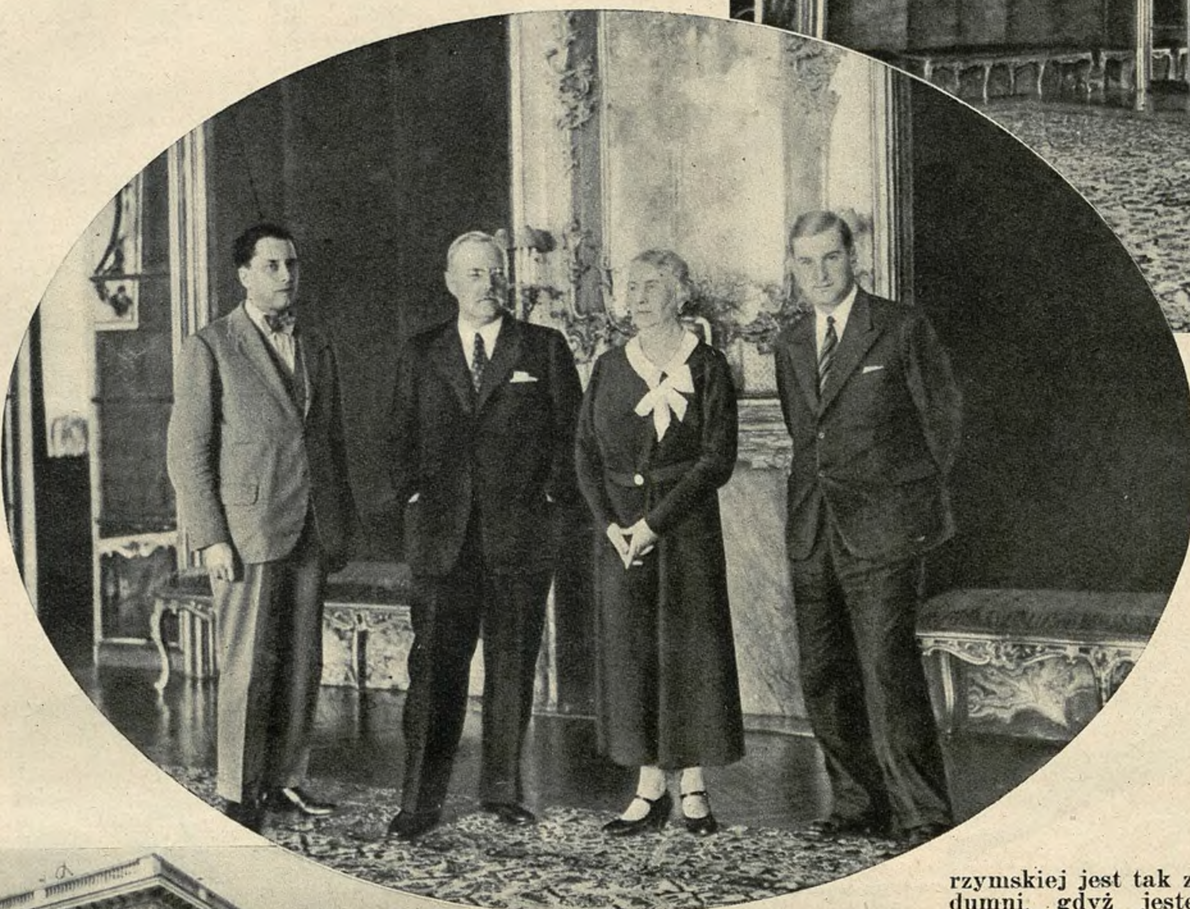
„ŚWIATOWID"
U P. AMBASADORA
WYSOCKIEGO
= W RZYMIE. =

Rzym,

Aczkolwiek listy uwierzytelniające złożył p. ambasador dr. Alfred Wysocki w upalne dni lipca b. r. — to jednak do pracy na placówce rzymskiej zabrał się obecnie, przebywszy należny urlop wakacyjny na poważnej kuracji w Szwajcarji. Zaraz też na początku urzędowania p. ambasador Wysocki przyjął Waszego korespondenta, który wręczył przedstawicielowi p. Prezydenta w Rzymie przy królu włoskim komplet wydawnictw koncernu „IKC." z ostatnim wydaniem „Światowida", tak mile zawsze widzianego od szeregu lat na biurku pracy naszego wybitnego dyplomaty.

W pięknym pałacyku nad Tybrem, gdzie mieści się obecnie ambasada Rzeczypospolitej, z chwilą przybycia tu pp. Wysockich zapanowało nowe życie. Nawiązanie stosunków z pałacem Chigi i kolonją polską jednocześnie, oraz żywe tętno pracy — oto żywotne i mocne zrealizowanie programu, jaki sobie nakreślił p. ambasador dr. Alfred Wysocki, przybywając z trudnej berlińskiej placówki do stolicy Nowej Italji. Mąż wielkiej kultury zachodniej, wypróbowany polityk i dyplomata, nowy ambasador Rzeczypospolitej przybył do Rzymu z wielkiem doświadczeniem. Prawnik i urzędnik z zawodu, p. Wysocki brał przed wojną czynny również udział w pracy dziennikarskiej, która jest tak bliska polityce i dyplomacji. Stąd też pochodzi jego sympatja do pracy i zrozumienie dla jej zadań i obowiązków.

Jeden ze wspaniałych salonów recepcyjnych Ambasady R. P. przy Kwirynale.



Ambasador dr. Alfred Wysocki z małżonką i najbliższymi współpracownikami, radcą Romerem i dr. Tadeuszem Chromeckim, pierwszym sekretarzem.



Gmach Ambasady R. P. przy Kwirynale, obok historycznej „Porta del Popolo".

Rozmawiając dłuższy czas z ambasadorem Wysockim wywnioskowałem, że będzie to najlepszy apostoł naszej polityki narodowej na półwyspie apenińskim. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że stosunki włosko-polskie zostaną należycie unormowane na płaszczyźnie wielkomocarstwowej.

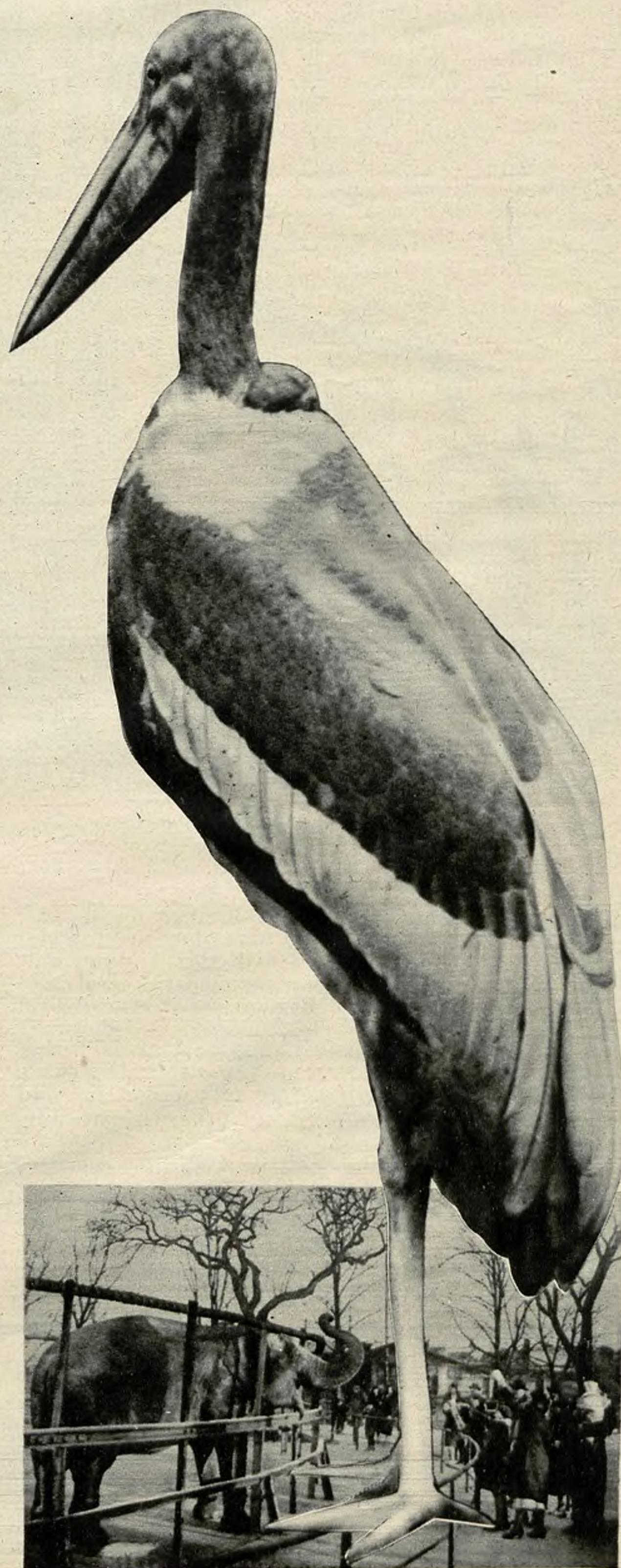
Wszak w duszach ludu włoskiego głośnem echem bije tysiącletnia przyjaźń polsko-włoska. Na rzymskim Kapitolu wmurowane tablice ku czci Janickich, Sarbiewskich i innych tę samą glorję głoszą, co o Tassie, Dantem i Petrarce. Nazwisko Marji Kazimiery wyryte na Kapitolu — mówi wszystkim, że Jan III Sobieski, obroniwszy Wiedeń — uratował całe chrześcijaństwo z Rzymem na czele... Historja Rzymu mówi o złotych podkowach posła polskiego Ossolińskiego na Placu Narodów i o tem, że w pobliżu stały Legjony Dąbrowskiego, które, mając wypisane na sztandarach „za wolność naszą i waszą", przybyły tu, aby bronić starej, starej kultury zachodniej. A turyści włoscy i cudzoziemcy, zwiedzający stary Rzym, wspominają Henryka Sienkiewicza, który swem „Quo Vadis" wydobył na światło dzienne te piękne karty pogańskiej Romy, odtwarzając życie starych Rzymian... On, mistrz Sienkiewicz pokazał światu rozkładające się Imperium Romanum. On został nauczycielem tej historji i on pozostanie nim „usque ad consumationem saeculorum"... On spopularyzował to, co wydobył z lamusów zwalonych bibljotek genjalny historyk sztuki Jan Winckelmann, stypendysta króla polskiego Augusta III. Pius XI, polski biskup, w swej letniej rezydencji w Castel Gandolfo polecił polskiemu artyście Janowi Rozenowi ze Lwowa, aby freskami unieśmiertelnił w kaplicy pałacowej ostatnią krwawą ofiarę narodu polskiego — to pamiętny „Cud nad Wisłą", który armja polska pod wodzą Józefa Piłsudskiego sprawiła, otwierając nowe dzieje przypieczętowaniem uratowania chrześcijaństwa i Rzymu... Oto nasze pomniki w Wiecznem Mieście, oto nasza glorja i duma, którą z majestatem, godnym 33-miljonowego mocarstwa będzie reprezentował i bronił p. ambasador Wysocki. Jesteśmy narodem żywym i ofiarnym, który tak wiele zrobił dla kultury rzymskiej i dlatego też w masach włoskich mamy tak wiele sympatji i uznania, jak żaden inny. Nasz udział w cywilizacji i kulturze grecko-rzymskiej jest tak znaczny, że możemy być z tego dumni, gdyż jesteśmy nietylko stróżami, ale i współtwórcami tego pokarmu duchowego, którym dziś karmią się zarówno Włosi, jak i inne narody.

I dlatego wypada cieszyć się, że na placówkę rzymską przyszedł właśnie mąż, który będzie godnie stał na straży tej dumy narodowej, który wielkość narodu włoskiego będzie umiał pogodzić z wielkością swego własnego narodu ku obopólnemu pożytkowi.

W POZNAŃSKIM ZWIERZYŃCU.







— *Rano muzea, popołudniu ogród zoologiczny.* Oto, jak lubię zwiedzać miasta — mówił raz do mnie pewien wykwintny poeta i historyk sztuki w Paryżu.

— A ja się przyznam pocichu i ze wstydem, że właściwie ogród zoologiczny wolę — odpowiedziałem ja, młody natenczas uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, przybyły nad Sekwanę dla studjów.

— Ależ naturalnie! To dowodzi poprostu, że jesteś artystą, i że żywą przyrodę odczuwasz silniej, niż naturę, przefiltrowaną przez kogoś innego na sztukę. Tak, tak, mój drogi, nie byłbyś artystą, gdybyś myślał inaczej!

— Ośmieliło mnie to na całe życie. Powiedziałem sobie raz na zawsze, że po pierwsze wolno woleć, a powtóre, że *wolno woleć lwa od Guida Reni, antylopę od Rafaela.* Jestem obecnie kustoszem muzealnym. Ponieważ słynę z pilności w urzędowaniu, bywam oczywiście częściej w muzeum, niźli w ogrodzie zoologicznym. Ale, jeśli się zastanowić i pomyśleć, że Muzeum Miejskie w Poznaniu (bardzo zajmujące — nawiasem mówiąc — i bardzo warte zwiedzenia) płaci mi wysoką gażę, wprost mnie utrzymuje, a Ogrodowi Zoologicznemu w Poznaniu ja płacę, i moją kartą abonamentową go w części utrzymuję, to... każdy kto się zna na tych rzeczach, z życia czy z wodewilu, powie, że..., kto wie? może właściwie feblika mam do „Zoologu"!?

I mam rację! „Zoolog" — jak mówią w Poznaniu, gdzie to słowo nie oznacza uczonego pana, lecz ogród — „Zoolog", to przyroda, wiew ziemi, pierwszy tydzień Genesis, almanach podbiegunowych lodowców i piasków Sahary, cejlońska dżungla i Kordyljery w skondensowanych pigułkach.

Każde zwierzę jest skondensowanym pejzażem swego kraju rodzinnego, jego „funkcją", aby się matematycznie wyrazić.

Lew, to płowe skały i piachy pustyni afrykańskiej.

Tygrys, to złote listowie indyjskiej zarośli, pręgowane czarnemi cieniami bambusów.

Biały niedźwiedź, pardwa, wszystkie zwierzęta polarne, to oczywiście śnieg.

Nasza sarna ma w sobie całe ubarwienie lasu, złocistość jego pni, zimową porą zaś zgniłą rudość opadłych liści. W *zającu* różnobarwne włosy sierści kradzione są z szarej gleby, srebrzystych szronów, żółtawych traw, czarnych nor w roli.

Gdy widzimy rozpasane i krzykliwe kolory *tukana*, czy *kolibra*, zgadujemy w tej chwili, że tam, gdzieś w brazylijskich lasach, rośnie pełno ogromnych barwnych kwiatów, widzimy myślą to jego otoczenie, przenosimy się w jednej sekundzie, podświadomie, w egzotyczną przyrodę.

Na tem zapewne polega niebywały urok ogrodów zoologicznych. *Dwie godziny tam spędzone, to podróż naokoło świata.* Wychodząc potem, mamy wspomnienia z Indyj i z Chin, z Australji, Madagaskaru i Alaski.

I dlatego pastwimy się nad naszymi młodszymi braćmi, zwierzętami, skazując je na dożywotnie więzienie. Niech nam wybaczą. Trzymamy je w zamknięciu z miłości. One mówią zapewne, że to miłość źle zrozumiana. Taksamo pewno myślała Halszka z Ostroga w szamotulskiej wieży i wszystkie branki z jassyru, karmione chałwą i sorbetami poza kratą haremów.

Szkoda tylko, że tego nie można tym biednym młodszym braciszkom dokładnie wytłumaczyć.

P.

GNIEW LUDU!

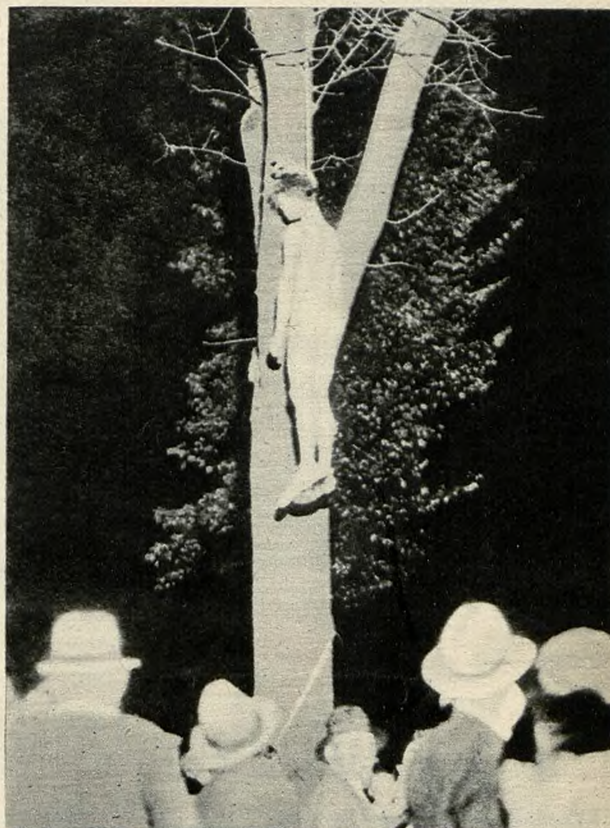




Tłumy, włamujące się do więzienia w San Jose, gdzie bandyci Thurmond i Holmes byli uwięzieni.



W San Jose w Kalifornji dokonano samosądu na dwóch bandytach, którzy uprowadzili dziecko miljonera Harta i zamordowali je. Bandytów wywleczono z więzienia i powieszono. Na zdjęciu moment po egzekucji bandyty Thurmonda.



Wspólnik Thurmonda Jack Holmes był naprzód przez rozwścieczony tłum batożony a później powieszony.

Jakże to łatwo dojrzeć źdźbło w oku bliźniego, choć ciężka belka tkwi we własnem.

Wiemy, że Stany Zjednoczone były zawsze, a przynajmniej miały się zawsze za herolda wszelkich wzniosłych haseł poszanowania praw obywatela. Z lupą przyglądały się stosunkom europejskim i krzyk podnosiły wielki, pełen oburzenia świętego, gdy gdziekolwiek na tym zacofanym świecie jeden czarny włos spadł z jakiej biednej głowy.

A tymczasem w domu własnym?

W domu własnym wszystkie włosy były święte, za wyjątkiem kędzierzawych. Murzyn był faktycznie poza prawem, a święte prawo lynczu w stosunku do niego należało zawsze do kardynalnych praw niepisanej konstytucji białego obywatela Stanów Zjednoczonych.

Historycznie wywodzi się ten „przywilej“ jeszcze z czasów pierwszych kolonistów w Ameryce Pół., gdy sądów tam jeszcze wogóle nie było, lub ramię ich nie sięgało w odległe prerje i puszcze i trzeba było zatem samemu sobie radzić przy wymiarze sprawiedliwości.

Zczasem biały został wprawdzie wyjęty z pod dobrodziejstw takiej przyspieszonej sprawiedliwości, lecz na jego miejsce, jako też na miejsce Indjan, którzy również korzystali swego czasu z przywilejów tak uproszczonego przechodzenia w zaświaty, wszedł murzyn w pełnię praw gniewem ludu budowanej szubienicy.

Obecnie proceder ten, wciąż świeży i żywotny, zdradza nawet wybitne „tendencje rozwojowe“, obejmując swem krwawem ramieniem nietylko, jak dotąd, tych nieszczęśników kędzierzawych, ale i białych, dopuszczających się zbrodni szczególnie potwornych.

Powszechne u nas i głęboko zakorzenione poczucie prawa uwalnia nas od wypowiadania słów oburzenia w odniesieniu do podobnych bezlitosnych samosądów, których nawet najkrwawsze i najdziksze zbrodnie nie zdołają usprawiedliwić.

Więc pijmy... pijmy...



Ameryka święci koniec prohibicji w dniu 5-go grudnia b. r.

Na raty — opornie — wśród wstrząsów — wśród walk — dwa kroki idąc naprzód i jeden się cofając, Stany Zjedn. zniosły wreszcie prohibicję, zadały śmierć tej przepięknej w abstrakcji idei, która w praktyce okazała się większem jeszcze złem, niż sam alkohol. Przez lata całe trwał ten trzeźwy i praktyczny naród przy głupstwie prohibicji, z uporem zapamiętałego fanatyzmu zamykał oczy na spustoszenia moralne, jakie kłamstwo prohibicji szerzyło w społeczeństwie, zamykał oczy na obrazy zbrodni, panoszącej się coraz butniej i brutalniej, nie chciał widzieć potworności świata podziemnego, który prohibicję mając za odskocznię, brał poprostu rządy kraju w swoje krwawe ręce, nie chciał widzieć degeneracji młodego pokolenia, wychowującego się w tem zakłamaniu publicznem. I trzeba było tych znanych powszechnie, gwałtownych wstrząsów gospodarczych z ostatnich miesięcy, które zajrzały całemu społeczeństwu ruiną w oczy, by śmiały dyktator Ameryki, prez. Roosevelt, mógł się ośmielić podnieść rękę na tę hipokryzję publiczną, która zdawała się być nieśmiertelną.

MARTWY BIEG.



Nienotowany wypadek zdarzył się na torze wyścigowym w Melbourne w Australji. Oto w pewnym biegu trzy konie przyszły równocześnie do mety, nie wysuwając się ani o pół cala naprzód. Komisja sędziów była w niełada kłopocie, któremu koniowi przyznać zwycięstwo. Ponieważ zdania były podzielone, przeto na gwałt wywołano kliszę, na której konie w finiszu zostały utrwalone. Ale fotografja okazała ponad wszelką możliwość, że zwycięzcami są wszystkie trzy konie. Słowem martwy bieg, t. zn. bez zwycięzców i zwyciężonych. Zupełnie jak niemieckie propozycje pokojowe z czasów wojny.



ROZKOSZNY NEGLIŻ JEAN PARKER.

Odniedawna zabłysła na firmamencie filmowym Ameryki nowa „gwiazdeczka". Jest nią Jean Parker. Trzeba przyznać, że wygląda czarująco w swym porannym negliżu, przeciągając się jak kotka po mile prześnionej nocy.

Słodki gość.



Kay English, jedna z najmilszych „gwiazdeczek“ błyszczących na firmamencie filmowym, zaopatrzywszy się w dwa pudła czekoladek i krążek jemioły wybiera się składać życzenia wszystkim swym znajomym.

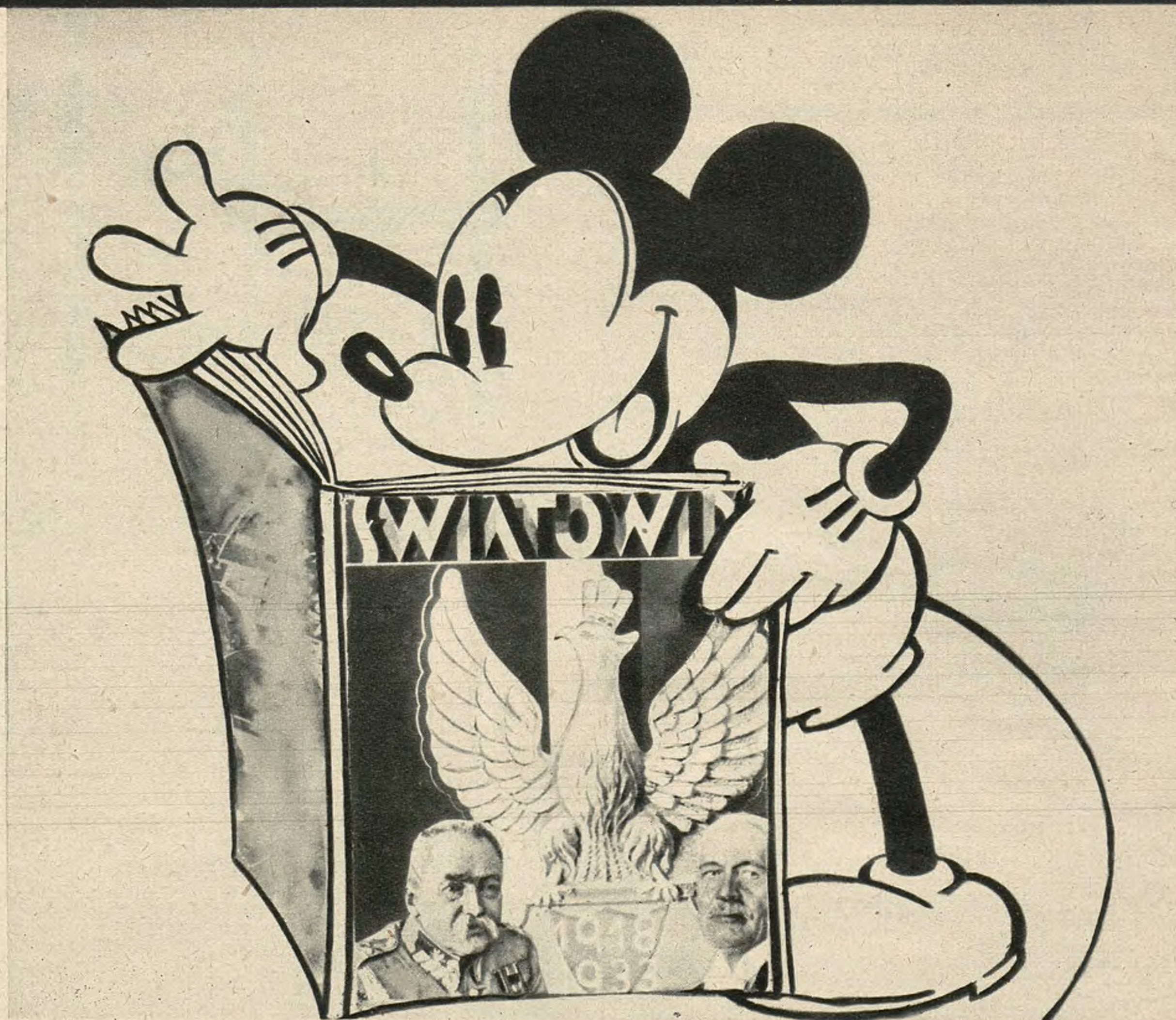
MARLENA DIETRICH ZE SWYM REŻYSEREM.



Po ostatnim filmie Marleny Dietrich, reżyserowanym przez Roubena Mamuliana — najnowszy jej obraz p. t. „Pułk kochanków“, realizować będzie właściwy twórca jej karjery Józef Sternberg. Nasza ilustracja przedstawia najnowsze zdjęcie Marleny Dietrich i Sternberga opuszczających wieczorem atelier po całodziennej pracy. Niebawem już ujrzymy Marlenę Dietrich kreującą rolę wielkiej carowej rosyjskiej Katarzyny Wielkiej.

Obniżenie kosztów budowy jest możliwe tylko przez zmechanizowanie, znormalizowanie i stypizowanie budowy. Jest to polityka budowlana „Tow. Budowli Osiedli“ w Gdyni.

UNITED ARTISTS CORPORATION „ŚWIATOWIDOWI“.



Wyrazem uznania dla „Światowida“ i jego działu filmowego, dobrze znanego zagranicą i chętnie przeglądanego przez gwiazdy filmowe jest list z dnia 27 listopada, który redakcja nasza otrzymała z Nowego Jorku od wytwórni UNITED ARTISTS CORPORATION. Wytwórnia ta kazała sporządzić fotomontaż, złożony z okładki numeru wojskowego „Światowida“ i słynnej myszki, zwanej Mickey Mouse. Do wytwórni U. A. C. należą Mary Picford, Norma Talmadge, Gloria Swanson, Charlie Chaplin, Douglas Fairbanks, Dawid Griffith, Samuel Goldwyn i Joseph Schenck. Uznanie tak wybitnych artystów, to jeszcze jeden dowód więcej, że Film „Światowida“, zarówno pod względem redakcyjnym, jak i graficzny, wybił się na czołowe miejsce wśród tygodników filmowych nietylko Europy, ale całego świata.

KTO I CO KRĘCI W AMERYCE?

—— Frederic March, jeszcze jeden z setek „ulubieńców kobiet", który bardzo twarzowym kostjumem w filmie „W cieniu Krzyża" zyskał sobie nowe rzesze wielbicielek, rozrywany jest przez wszystkie wytwórnie i nakręca cały szereg nowych filmów. Ostatnim filmem, w którym teraz pracuje, jest „Śmierć na wakacjach".

—— W Hollywood odbyły się obecnie dwie uroczystości. Pierwsza to wielkie, uroczyste przyjęcie u największej amerykańskiej tragiczki ekranu Marji Dressler, z racji jej 64-tej rocznicy urodzin. Na przyjęciu byli obecni wszyscy wielcy producenci amerykańscy. Druga uroczystość odbyła się w domu Jean Hersholta, który obecnie nakręca swój setny film. Filmem tym jest „Kot i skrzypce", gdzie Hersholt partneruje Ramonowi Novarro i Jeanette Mac Donald.

—— Rekord masowej produkcji uzyskał w tym sezonie Fox. Obecnie na warsztacie „dzieł sztuki" znajduje się siedemnaście filmów równocześnie!

—— Najnowszym filmem Borysa Karloffa, który dziwnym biegiem rzeczy cieszy się dużo większem powodzeniem w Europie niż w Ameryce, jest „Ekspress z Bombaju". Partnerką Karloffa jest Helen Twelvetrees.

—— Colleen Moore nakręca już swój trzeci z rzędu film, którym jest „Success Story".

—— Wytwórnia Warner Bros zapowiada wielki film p. t. „Historja Narodu". Ma to być sfilmowane wielkie widowisko, które wystawił ostatnio teatr żydowski w Nowym Yorku z olbrzymiem powodzeniem.

—— Szereg filmów historycznych i kostjumowych, o których pisaliśmy już kilkakrotnie, nie został jeszcze wyczerpany. Poza wyliczonemi już: „Henrykiem VIII" — „Voltairem i Madame Pompadour" — „Królową Krystyną" — „Katarzyną II" — „Marją Antoniną" — „Napoleonem" i t. d. i t. d., zapowiadają dalsze filmy historyczne. Tym razem zabierają się producenci do tematów, opartych na scenarjuszach przeważnie oryginalnych, specjalnie dla filmu pisanych. Najbardziej sensacyjnie zapowiada się film „Ulice Rzymu", którego treścią będzie wojna Rzymu z Hannibalem (Annibal, jak go nazywają wykształceni Amerykanie). W filmie tym Hannibal przegrywa wojnę dzięki Jean Harlow, w której ramionach szuka miłości. — Najpiękniejszym zaś filmem miłosnym ma być „Antonjusz i Kleopatra" (po amerykańsku „Marc Antoine") obraz zapowiadany, jako największy przyszłego sezonu, realizacji speca od wielkiej wystawy, Cecil de Millea. — Ostatnim wreszcie (narazie) z tej serji jest „Elżbieta Angielska" i jej miłość do lorda Essexa. Rolę Elżbiety kreować będzie Katherin Hepburn. Jak na jeden raz, to aż nadto.

Producenci amerykańscy zostali zaskoczeni niespodziewanem powodzeniem filmu „Frankenstein". W wielu kinach na świecie osiągnął on rekordy kasowe dla danego kina. — Powodzenie to skłoniło producentów do dalszego prowadzenia tej zabawy. I oto zapowiadają „Powrót Frankensteina", film będący dalszym ciągiem „Frankensteina" i posiadający prawie tę samą obsadę aktorską. Scenarjusz napisał ten sam autor, reżyseruje ten sam reżyser i Borys Karloff gra rolę główną.

FILM POD ZNAKIEM SWASTYKI.

—— Emil Jannings, o którym niedawno pisaliśmy w obszernym reportażu, podpisał ostatnio umowy z kilkoma wytwórniami niemieckiemi, dla nakręcenia całego szeregu filmów. Narazie pracował nad niemiecką wersją angielskiego filmu „Życie prywatne Henryka VIII", a w najbliższej przyszłości miał rozpocząć tournée teatralne po Austrji. Tymczasem wszystkie plany muszą ulec zwłoce na czas nieokreślony, gdyż wielki tragik dostał ostrego ataku neurastenji, przechodzi silny kryzys nerwowy i przebywa w sanatorjum, skąd nie rokują mu szybkiego wyjścia.

—— „Wilhelma Tella", o którym to filmie już wspominaliśmy, nakręcają równocześnie w trzech wersjach: w niemieckiej, angielskiej i francuskiej. Główną rolę kobiecą w wersji niemieckiej i angielskiej objęła Mary Delschaft, znana aktorka angielska.

——Asta Nielsen, która na długo jeszcze przed rewolucją dźwiękową zrezygnowała z pracy filmowej, powraca obecnie znowu na ekran. — Występowała ona ostatnio w teatrze, w sztuce „Obca kobieta" i ta właśnie sztuka zostanie zfilmowana z Astą Nielsen w roli głównej. Niewielu zapewne jest wiadomem, że Asta Nielsen jest żoną Polaka, Grzegorza Chmary.

—— Słynny film „Hotel Atlantic", jaki nakręciła ostatnio Anny Ondra, który ma być najlepszym ze wszystkich dotychczasowych filmów tej artystki, — zmienił tytuł na „Hotel kochanków".

—— Od dawna zapowiadany film niemiecki „Gdybym był królem" dopiero teraz rozpoczęli nakręcać. Role główne grają Wiktor de Kowa i Kamila Horn.

—— Druga obok Asty Nielsen najsłynniejsza niegdyś artystka niemiecka, Erna Morena, która też długie lata spędziła w zaciszu domowem, po raz drugi zadebiutuje na ekranie. — Wystąpi ona w filmie „Biała siostra" wraz z Hertą Thiele, Teodorem Loos i Rudolfem Klein Rogge. Scenarjusze tego filmu napisała b. żoną i współpracowniczka Fryderyka Langa — Thea von Harbou, która te objęła reżyserję tego obrazu.

—— W wielkim, wystawowym filmie „Złoto", nakręcanym w trzech wersjach, wystąpi we wszystkich trzech wersjach Brygida Helm. W wersji niemieckiej partneruje jej Hans Albers i Lien Deyrs.

—— Magda Schneider która zdobyła sobie europejską sławę nową wersję „Miłostek", wystąpi obecnie w dwóch dalszych filmach. Będą to: film muzyczny z muzyką Oskara Straussa „Dwaj optymiści" i film sensacyjny p. t. „Zginęła młoda Berlinka". Zapowiadają jeszcze trzeci film z tą artystką „Wszystkie dziewczęta z nami". W tym ostatnim będzie ona grała wraz z Hansem Rühmannem i Erną Moreną, o której powrocie do filmu piszemy powyżej.

—— Käte de Nagy, Werner Fueterrer, Ida Wüst i Gustaw Waldau nakręcają film p. t. „Aby raz w życiu być damą".

—— W studjach Tobis Johannistahl nakręcają wersje niemieckie i włoskie świetnej węgiersko-francuskiej komedji „Papryka". — Komedja ta nakręcona została najpierw po węgiersku i francusku. W wersji francuskiej, którą zobaczymy u nas, główną rolę gra Irena de Zilahy. W wersji niemieckiej i włoskiej główną rolę gra artystka włoska Elsa Merlini.

—— Najpopularniejszym obecnie śpiewakiem niemieckim, którego z entuzjazmem słuchają Niemcy codziennie prawie przez radjo, jest Ernest Groh. Artysta ten nakręca obecnie swój pierwszy film pod dyrekcją Karola Boese pod tytułem „Pieśń szczęścia".

—— Gustaw Fröhlich i Kamila Horn występują razem w filmie „Za jeden miljon".

„A KTO MNIE CAŁUJE?"



Hilde Springer należy do wampirzyc, to jest owych słodkich istot, które zdaniem starszych i doświadczonych ludzi są najniebezpieczniejszemi stworzeniami na świecie, nietylko dla dorastającej młodzieży, ale także dla starszych panów wszystkich ras i narodowości. Wampirzyce wysysają bowiem nietylko krew ze swoich ofiar, ale przedewszystkiem gotówkę, która obecnie jest produktem ogromnie rzadkim, a przez to poszukiwanym.

Wśród szeregu wampirzyc poczestne miejsce zajmują Niemki z nieśmiertelną Marleną Dietrich na czele i Brygidą Helm. Ta ostatnia wychodzi już z mody. Zdaje się, że zastąpi ją Hilde Springer (na zdjęciu). Kobieta naprawdę piękna i powabna. Oczywiście platynowa blondynka, tak jak Harlow. Na zdjęciu widzimy ją jako bohaterkę filmu: „A kto mnie całuje?".

Z DAWNYCH ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW.



Antoni Nowotny w roli pocztyljona.

Od szeregu lat synonimem filmu czeskiego są trzy nazwiska: Anny Ondra, Vlasta Burjan i Karel Lamacz. W Europie, a nawet u najbliższych sąsiadów, jak naprzykład w Polsce, nic się nie wie o produkcji filmowej w Czechach, o nazwiskach gwiazd i filmach, jakie w amerykańskiem niemal tempie nakręca się obecnie w atelier na Barandyjowie w Pradze.

Raz już, kiedy jeszcze na ekranach królował „wielki niemowa" usłyszała Europa o Czechach i ich filmach. Było to wtedy, gdy pojawił się obraz „Eroticon", realizacji jednego z najwybitniejszych i najciekawszych reżyserów Europy Ferdynanda Machaty'ego. Zarówno śmiała treść, jak oryginalna reżyserja i gra bohaterki Ity Riny sprawiły, że oczy fachowców filmowych zostały zwrócone ku Czechosłowacji. — Stwierdzono, że Czesi potrafią i mogą robić dobre filmy.

Odkryto więc nową, nieznaną dotychczas ziemię. Potem poczęto masowo kręcić filmy czeskie. Nie wybijały się one specjalnie ponad średni poziom filmów niemieckich, francuskich, lub włoskich. Odkryto dalej dla szerokich mas Anny Ondrę, porwaną potem, podobnie jak Ita Rinę przez Berlin. Czechosłowacja filmowa przestała być ciekawością Europy.

Drugą rakietą, która wystrzeliła niespodziewanie na firmamencie filmowym i przykuła ogólną uwagę, był Vlasta Burjan. Sta'o się to już w okresie dźwiękowca. Na pomoc reżyserowi Karelowi Lamaczowi przyszedł nowy sojusznik — muzyka czeska, porywająca i czarująca swą melodyjnością, swym rytmem. Film czeski wygrał wtedy po raz drugi bitwę o popularność w Europie.

Rodzaj artystyczny, stworzony przez Vlastę Burjana, przekonał wszystkich. — „C. K. Feldmarszałek" dzięki sprytnemu spreparowaniu oklepanego zresztą tematu (wojsko austrjackie) i czarowi muzyki czeskiej — zyskał popularność niemniejszą od komedji Harolda Lloyda, Buster Keatona, czy nawet wielkiego czarodzieja ekranu Charlie Chaplina. Publiczność sal kinowych zachorowała na zaraźliwą chorobę — na czeskie filmy.

Powodzenie jest jednak niebezpieczne, gdyż częstokroć zamiast przyczyniać się do podniesienia poziomu sprawia, iż skutkiem zbytnio szybkiego tempa pracy — jakość ulega znacznemu pogorszeniu. To też właściwie można stwierdzić, że Burjan wraz z swemi „gierkami" i kaczym głosem... już się niestety skończył.

Anny Ondra, rozkoszne „baby" czeskie stracona już została dla filmów rodzimej produkcji. Porwana przez Berlin, potem przez Paryż musi teraz swym cieniutkim głosikiem wyśpiewywać — fatalnym zresztą akcentem — „chansonetki" francuskie.

A tymczasem po zgaśnięciu gwiazdy Vlasty Burjana wypłynęło na powierzchnię szereg nowych twarzy i nowych sił artystycznych. Machaty po kilku latach milczenia przemówił znowu, wzbudzając ponownie zachwyt i podziw dla swego filmu „Ekstaza". Poza tem kręcą Mac Fricz, Lamacz, Binovec, Kubasek i inni. Wspaniałe i posiadające najnowsze urządzenia atelier ABFilmu w Pradze jest nieustannie zajęte.

Ostatnio jedna z najciekawszych postaci na terenie filmowej Czechosłowacji — Otto Kantorek, współpracownik najwybitniejszych reżyserów niemieckich i francuskich, nakręcił ciekawy i oryginalny film folklorystyczno-kostjumowy p. t. „Z dawnych, zamierzchłych czasów". W filmie tym, zrealizowanym z udziałem najmłodszych, lecz utalentowanych wielce sił artystycznych, jak Hina Manalowa, Antoni Novotny, Helga Novakowa i in. — odżyły dawne, biedermayerowskie czasy. Powróciły do życia sceny zabaw ludowych w oryginalnych kostjumach, postacie pocztyljonów i właścicieli gospód przydrożnych.

Film ten ma zapewnione powodzenie, treść i aktorzy — są rękojmą.

J. Radzimiński.



Zabawa ludowa.



Hina Manalowa, bohaterka filmu „Z dawnych, zamierzchłych czasów".



Kocham cię...

ZHITLERYZOWANY FILM.



Było to do przewidzenia, że nowy rząd niemiecki organizując „Trzecią Rzeszę", wciągnie w „krąg interesów" również i film. Już wojna wykazała wielkie znaczenie filmu jako aparatu propagandowego, sięgającego wgłąb najszerszych warstw społeczeństwa. Po wojnie państwa, które położyły większy nacisk na rozpowszechnianie swojego programu wśród mas, poszły konsekwentnie tą drogą. Odnosi się to przedewszystkiem do Włoch Mussoliniego i do Sowietów. Ujmując w swoje ręce film, hitleryzm nie wymyślił nic nowego. Trzeba jednak stwierdzić, że myśl swoją przeprowadził daleko konsekwentniej, a przedewszystkiem daleko szybciej, niż oba co dopiero wymienione państwa. Sowiety np. potrzebowały kilku lat do zorganizowania państwowej akcji filmowej — Niemcy hitlerowskie dokonały tego w kilku miesiącach. Na czele całej akcji filmowej stoi t. zw. „Państwowa Izba Filmowa", złożona z 6-ciu osób. Charakterystycznem jest, że do tego dyrektorjatu nie należy ani jeden przedstawiciel producentów filmowych, właścicieli wypożyczalni, eksporterów i importerów, warsztatów technicznych filmowych, wogóle nikt z przemysłowo-handlowego świata filmowego. Tendencja w tem wyłączeniu jest wyraźna: chodzi o akcję ideową, bez względu na interes ludzi, czy zakładów, traktujących film, jako źródło zarobku. Jeżeli Sowiety przez dłuższy czas w organizacji filmu propagandowego miały jedynie negatywne cele — przedstawianie „zgnilizny" przedrewolucyjnej burżuazji — a dopiero w ostatnich latach, w okresie pierwszej i drugiej piatiletki przeszły na tory pozytywne: przedstawianie rozmachu rozwoju przemysłu sowieckiego, to hitleryzm odrazu wysunął pozytywne cele. Zasadniczym bowiem postulatem zhitleryzowanego filmu jest optymizm. Z całym naciskiem, a nawet uporem powtarza się ciągle, że każdy film, przeznaczony dla nowych Niemiec, ma wprawdzie ilustrować przeszłe, czy obecne życie, że jednak nie wolno mu nigdy zapominać o tem, iż widz kinowy ma z każdego seansu wynieść uczucie „radości życia", że film ma wzmocnić opór przeciwko obecnym dolegliwościom życiowym, spotęgować tężyznę społeczeństwa, akcentując jak najsilniej tę tezę, iż idzie się ku lepszej przyszłości. W przeciwieństwie również do filmu sowieckiego, który z natury rzeczy ma tendencję społeczną — zhitleryzowany film ma być nawskroś narodowy. Poza temi dwoma postulatami, które każdy dozwolony do wystawiania w Niemczech filmu ma zrealizować, głosi zupełną swobodę artystyczną.

W jednym tylko wypadku i to bardzo charakterystycznym, film „Trzeciej Rzeszy" ujawnia tendencję społeczną. Pozostaje ona w związku z całą ideologją hitleryzmu. Otoż, jak wiadomo, jednym z najważniejszych jej punktów jest podniesienie stanu włościańskiego, podniesienie go nietylko pod względem materjalnym, lecz także w sensie zwiększenia jego prestiżu w obrębie całego społeczeństwa niemieckiego. Tej ogólnej tendencji ma służyć także film. Mieszczących mu o ile możności jak najczęściej oglądać filmy, ilustrujące życie chłopów niemieckich, podkreślające ich znaczenie dla odrodzenia przyszłości całego państwa i społeczeństwa.

To są zasadnicze, ogólne tendencje filmu hitlerowskich Niemiec. Poza tem używa się tam filmu i do aktualnej propagandy, do specjalnych celów zdążających. Tak np. pod kierunkiem samego „Führera prowadzi się obecnie z dużym rozmachem propagandy akcję tak zwaną Winterhilfe, zmniejszenie nędzy szczególnie w okresie nadchodzącej zimy. Propagandzie tej akcji wszystkie niemieckie czasopisma, od najmniejszego świstka brukowego do najpoważniejszej ilustracji — dobrowolnie, czy przymusowo — poświęcają wiele miejsca. Na jej usługi oddano także film.



Hitler sam będąc z zawodu malarzem, interesuje się żywo sztuką a przedewszystkiem filmem. Wszystkie sprawy sztuki zostały skoncentrowane w Izbie kultury, na czele której stoi minister propagandy dr. Goebbels. Na zdjęciu Hitler w towarzystwie Goebbelsa i sekretarza stanu w Ministerstwie Propagandy dr. Funka na koncercie Włocha Gigli w Berlinie.



Hitler posiada wśród artystów filmowych gorących zwolenników swojego reżimu. Do nich należy przedewszystkiem Leni Riefenstahl. Bohaterka filmu „Białe szaleństwo", doskonała narciarka i sportsmenka. Na zdjęciu (po prawej) w towarzystwie Anny Ondra, Czeszki, która wyszła zamąż za Niemca, boksera Schmellinga.

Wyprodukowano osobne filmy, zorganizowano akcję rozpowszechniania ich w krótkim czasie po całym obszarze państwa (nigdzie taki film nie może być dłużej wystawiany, jak przez jeden tydzień, ażeby mógł iść szybko dalej). W bajecznie sprężysty sposób skorzystano również w zakresie filmu z pamiętnego wielkiego zjazdu hitlerowców w Norymberdze. Rozkazem, mającym być bezwzględnie wykonanym, zarządzono, by taki film był skonstruowany w przeciągu czterech dni, rozkazując równocześnie, by nie był on tylko serją luźnie ze sobą związanych obrazów, ale całowieczorowym filmem o zajmującej akcji. I rozkaz ten oczywiście co do joty został wykonany.

Oczywiście nie tutaj miejsce na krytyczne omawianie całej tej organizacji. Chcieliśmy tylko naszych Czytelników zapoznać z głównemi jej zasadami, jako z najpośledniejszą częścią całej wielkiej akcji hitlerowskich rządów, zmierzających do wewnętrznego przeobrażenia narodu.

FELJETON TYGODNIOWY.

»SUPERSZLAGIER SEZONU!«

ARCYFELJETON O REKLAMIE FILMOWEJ.

„Olbrzymia sensacja prasy wszechświatowej! Najbardziej sensacyjny feljeton, który z zachwytem czytać będą miljonowe rzesze!

Olśniewające pomysły i napięcie! Fascynująca treść, zniewalająca czytelników świeżością, lekkością i nastrojem!

Szampański koktail humoru, radości i pikanterji!

Niezrównane napięcie towarzyszy temu świetnemu feljetonowi i zapiera dech czytelnikom w piersiach od początku do końca!

Twórcą tego rewelacyjnego feljetonu jest niezrównany, sympatyczny, młodzieńczy i junacki, wytworny i rasowy — Aleksander — ulubieniec kobiet wszystkich ras!"

Oto jakby wyglądała reklama mojego feljetonu, gdyby reklamę tę pisał — właściciel kina. Mam koło siebie kilkadziesiąt wycinków gazet i kilka karteczek, na których przepisywałem sobie bardziej „klasyczne" afisze kinowe. W powyższym tekscie niema ani jednego zdania, ani jednego słowa mojego! Wszystko oryginalne, zastrzeżone dla właścicieli kin. Przepisywałem dosłownie, jedynie słowo film zastąpiłem słowem feljeton. Bo gactwo stylu ogłoszeń i afiszów kinowych nie da się z niczem porównać! Sam wielki Rabelais, wyliczając zalety słynnej swojej zupki, sporządzanej ze zboża na pniu, mógłby sobie wziąć za wzór panów właścicieli kin. Cóż za jędrność i dosadność wyrażeń! Np. ogłoszenie komedji: „Przepyszna uczta humoru, piosenki i flirtu! Najnowsza i najwspanialsza kreacja czarującej, zalotnej, najmilszej aktorki Europy... czarodziejki złotego humoru. Ucieszne miłostki! Kapitalne wymysły! Huraganowa zabawa i wulkaniczny śmiech! Mary szaleje — Mary uwodzi — Mary kocha — Mary roześmiesza do łez"! itd. jeszcze dosyć długo. Albo schemat dla dramatu (przepisuję dosłownie!): „Arcyfilm płomiennej miłości i ekstazy, pełen sensacyjnych przygód!... przepiękna, upajająca pieśń serca, duszy i zmysłów. Olśniewająca pomysłowość i napięcie! Sport, plaża, zabawy luksusowe, fascynująca treść! Arcydzieło to w triumfalnym pochodzie idzie obecnie przez ekrany świata, bijąc..."

Czy to nie rozkoszna lektura? Cóżbyśmy robili w tramwajach, gdyby nie było tam tych „olśniewających pomysłów", pisanych przez „czarodziejów złotego humoru". I pomyśleć, że właściciele kin jeszcze dopłacają dyrekcji tramwajów za wywieszenie tych perełek, zamiast żeby było odwrotnie! Przecież te afisze, to jedyna rekompensata za przepłacony bilet tramwajowy! My nie umiemy ocenić naszego kina. Przez cały długi rok niema ani jednego filmu tylko dobrego, tylko wesołego, tylko sensacyjnego. Same filmy najlepsze, najweselsze, najbardziej sensacyjne, najrozkoszniejsze, „przepyszne uczty filmowe o nieoglądanej nigdy przedtem pełni wrażeń!" — „Arcydzieła te budzą powszechny zachwyt Europy i Ameryki", tylko my nie umiemy się na nich poznać, tylko my jesteśmy wiecznie niezadowoleni! Nieszczęsny jest zawód właściciela kina w Polsce.

Ale któż jest temu winien, że nie każdy film jest arcyfilmem, że nie pomaga jarmarczna reklama, że publiczność za dobrze się orjentuje, że nie reaguje na wypisywane bzdury, że nie zwraca na nie uwagi, jak na owo zawołanie „wilk, wilk" słynnego pastuszka?! — Rozmawiałem na ten temat z kilkoma właścicielami kin, ale każdy odpowiedział mi mniej więcej jednakowo: — „jakże ja mogę nie pisać, że mój film jest rewelacją sezonu, kiedy mój konkurent o tem świństwie, które teraz gra, pisze, że to jest epokowe zdarzenie w kinematografji?"

Nie ulega wątpliwości, że reklama kinowa poszła w Polsce w zupełnie błędnym kierunku. Każdy kierownik kina uważa się za wybitnego specjalistę od reklamy, nie zdając sobie sprawy z tego, że reklama to już dziś specjalna wiedza, wymagająca dokładnego zapoznania się z jej arkanami. To prawda, że są ludzie, którzy mają w tym kierunku wrodzone talenty, ale takich ludzi jest bardzo niewielu, a już panowie właściciele kin nie zdradzili tych talentów dotychczas.

Reklama kinowa, taka, jaką jest ona dzisiaj, mija się zupełnie ze swym celem. Właściciele kin nie zdają sobie sprawy, że tych bzdur na afiszach nikt poważnie nie bierze, nikt nie wierzy ani jednemu słowu. Poza reżyserem i aktorami, których podanie na afiszu odgrywa ważną rolę, mogą sobie tam wypisywać, co im się żywnie podoba —

z jednakowym skutkiem. To wszystko jest całkowicie bezcelowe!

W mieście, w którem istnieje kilka kin, a zatem w mieście, w którem istnieje konkurencja, reklama musi pójść nie w kierunku tylko zawiadamiania publiczności o danym filmie, ale przedewszystkiem w kierunku propagandy danego filmu i kina! Jaka to różnica? Normalne afisze i normalne ogłoszenia w prasie powiadamiają o danym filmie tych ludzi, którzy mają zamiar wybrać się do kina. Ale tym ludziom łatwiej jest zaglądnąć do zamieszczonego w każdem piśmie repertuaru kinowego, niż szukać niecodziennie zamieszczanego ogłoszenia. Ten sam cel tylko spełniają dzisiejsze afisze rozlepione na kioskach. Celowe zaś ogłoszenia i celowe afisze docierać muszą do tych ludzi, którzy nie mieli zamiaru właśnie w ten dzień wybrać się do kina, muszą tym właśnie ludziom na dany film zwrócić uwagę i zachęcić ich do oglądnięcia właśnie tego a nie innego filmu. Zarówno ogłoszenia jak i afisz muszą przedewszystkiem zwrócić na siebie uwagę swoją odrębnością, muszą zatrzymać przy sobie przechodnia! Jeżeli chodzi o ogłoszenie, to może się to stać jedynie dzięki specjalnemu układowi, czy też dzięki jednemu, czy dwom nowym słowom, czy też — i to przedewszystkiem — dzięki interesującej fotografji, zamieszczonej jako ogłoszenie. Gdyż pierwszym i najważniejszym celem ogłoszenia jest zatrzymanie na sobie wzroku czytelnika. Wiedzą o tem oddawna wszystkie większe firmy



Ulica miasta amerykańskiego jasna od reklam filmowych.

silnie się reklamujące i nie zamieszczają ani jednego ogłoszenia bez odpowiedniej fotografji. I to samo odnosi się do afisza. Afisz odpowiednio reklamowanego filmu musi wyróżnić się z pośród dziesiątków afiszy, wiszących obok niego. Czy to formą, czy układem, czy barwą, czy wreszcie znowu — obrazem. Naturalnie, tak jak fotografja, tak i obraz musi być odpowiednim, gdyż nie każda fotografja i nie każdy „obraz“ nadaje się na ogłoszenie i plakat.

Jeżeli teraz dane ogłoszenie, czy plakat spełni swój pierwszy cel zwrócenia na siebie uwagi i zatrzymania przechodnia, to dalszym jego celem jest zachęcenie go do oglądnięcia danego obrazu, co można osiągnąć odpowiednim tekstem.

Prawdą jest to, co mówią wszyscy właściciele kin, że słabemu filmowi najlepsza reklama nic nie pomoże, gdyż publiczność „niestety“ zadobrze orjentuje się we wszystkich filmach. Niemniej jednak prawdą jest, że przy filmie średnim odpowiednia reklama jest warunkiem nieodzownym, jeżeli film ma mieć jakie takie powodzenie!

Nie mam już miejsca, by pomówić o znaczeniu tytułu filmu, który właściciele kin zmieniają nieraz w fatalny sposób i o znaczeniu wystawionych fotografij. Do tematu tego powrócę jeszcze przy najbliższej sposobności.

Narazie przyrzekam uroczyście, że upiję się z radości i za gotówkę kupię najdroższy bilet do kina, które pierwsze ogłosi swój film w odpowiedni sposób, bez używania słów takich, jak super szlagier, największe wydarzenie kinematografji, bez coctailów i ucieszych miłostek!

Aleksander

PATRZCIE, PATRZCIE MŁODZI...



Zdaje się, że kochał się w Maureen O'Sullivan, bo widywano ich zawsze razem. Nauczył ją nawet pływać, co przyszło mu bardzo łatwo, gdyż jest mistrzem świata w tem rzemiośle. Ale ożenił się z inną, mianowicie z Lupe Velez. Domyślacie się chyba, że mowa tu o Weismüllerze, stuprocentowym Tarzanie i pięknym chłopcu w jednej osobie. Obecnie ten wspaniały Tarzan zażywa rozkoszy miodowych miesięcy. Kocha i jest kochany. Żona nie opuszcza go ani na krok, towarzyszyszy mu nawet u fryzjera (na zdjęciu). Ale to tak zawsze bywa, każda miłość zaczyna się w maju, przy wtórze słowików, a kończy się przy zgrzycie zębów. Weissmüllerowie żyją już razem dwa miesiące. Zobaczymy, co przyniesie wiosna. Może rozwód, a może... młodego Tarzanka. W każdym razie jak dotąd, stanowią wzruszający przykład wierności małżeńskiej.

Dwa miesiące żyją pod jednym dachem. Piękny przykład dla młodych.

»HANKA« NAJNOWSZY FILM POLSKI.



Scena z filmu „Hanka“. Na zdjęciu Ligja Goebel, Jerzy Dal i Renia Sadowska,

Obok szeregu filmów, jakie w danej chwili nakręcane są w wielkiej ilości w ateliers warszawskich, na specjalną uwagę zasługuje ciekawy film p. t. „Hanka“ (Oczy czarne...). Akcja filmu rozgrywa się wśród wołyńskich lasów, tłem zaś jest obóz cygański. Film „Hanka“ odsłoni tajemnice obozu cygańskiego, przynosząc równocześnie czarowne melodje piosenek w wykonaniu prawdziwego chóru cyganów Jerzego Siemionowa. W rolach głównych obok Iny Benity, bohaterki „Puszczy“, „Jego Ekscelencji subjekta“ i in., wystąpi Ligja Goebel, znana ze swej nieprzeciętnej urody wice-miss Polonia. Tytułową rolę męską kreować będzie jeden z najpopularniejszych artystów polskich Zbigniew Staniewicz. Reżyseruje Jerzy Dal.

WĘGIERSKI WĘDROWIEC NA LONDYŃSKIM BRUKU.

(Korespondencja własna „Światowida“).

Tuż naprzeciwko Hyde-Parku wznosi się monumentalny „Dorchester Hotel“, ulubione miejsce postoju i główna kwatera gwiazd filmowych, wędrujących z Hollywoodu do Europy.

Do „Dorchesteru“ zajechał głośny gwiazdor węgierski Paweł Lukas, po 6-letniej pracy filmowej w Hollywoodzie.

W hallu „Dorchesteru“ — wyczekując zjawienia się Lukasa — napotykam na ulubionego komika Monty Banksa. Śmieje się i gestykuluje żywo, tłumacząc coś głównemu portjerowi. Za chwilę zjawiła się w hallu urocza gwiazda meksykańska Raquel Torres, z walizkami podróżnemi.

— Gdzież państwo wyjeżdżają? — zapytuję.

Wesoły Włoch szczerzy ku mnie w uśmiechu zęby i mówi, że odwozi w swem aucie słodką Meksykankę na „Victoria Station“, bo dziś opuszcza już brzegi Albionu. Monty mówi mi o swych wrażeniach z podróży, jaką w swem aucie odbył codopiero z Calais do południowych Włoch. W Rzymie zaproszony został na „lunch“ do Il Duce i wrócił do Londynu olśniony postępami socjalnemi swej ojczyzny. Podejrzewam, że został faszystą, tak się rozpływa nad boską Italją! Wręcz zapytuję, co sądzi o Il Duce? Monty strzela wesoło oczami i mówi, że Mussolini jest „a big man“ (wielkim człowiekiem).



Paweł Lukas, znakomity artysta węgierski.

Słodka Raquel śle swe powłóczyste spojrzenia ku Włochowi — swemu cicerone... Dobrana para gwiazd spieszy się na dworzec, więc żegnamy się.

Z lift'u wychodzi wysoki, masywnie zbudowany gwiazdor węgierski, Paul Lukas. Ma prezentację miłą i sympatyczną. Częstuje mnie papierosami amerykańskiemi, które przywiózł z dalekiej drogi.

— Czy tęskni pan bardzo za Budapesztem? — zapytuję.

— Hollywood — mówi Lukas — zaprzęgło mnie do pracy i od 6 lat nie mogłem zdobyć się na wyjazd w me rodzinne strony. Pragnąłbym oczywiście w czasie mej obecnej podróży wpaść do Budapesztu, ale wpierw muszę zasięgnąć języka i posłuchać nowości budapeszteńskich z ust mego serdecznego przyjaciela Aleksandra Kordy, który prowadzi studjo w Londynie. Dla Kordy — przyznam się panu — pracowałbym za darmo, gdyż łączy nas nić serdecznej przyjaźni...

— Jak Pan zamierza czas spędzić w Europie?

— Najpierw — mówi Lukas — odwiedzę kolonję węgierską w Londynie i pochodzę sobie samopas po mieście. Jest to moja pierwsza wizyta w Londynie i po moich doświadczeniach amerykańskich, Londyn na pierwszy rzut oka sprawia na mnie wrażenie miasta niesłychanie solidnego i... bezpiecznego. W Ameryce jest nieco inaczej... Z Londynu udam się do Włoch — mówi Lukas — wpadnę na chwilę do Budapesztu i wrócę zpowrotem do Londynu. Z „Universalem“ mam kontrakt do końca 1934 roku.

— Jaki będzie następny Pański film?

— Mam do wyboru pół tuzina scenarjuszy — mówi z uśmiechem Lukas. Nie wiem, przy którym zostanę. Narazie pragnę zapomnieć o pracy, chcę odpocząć. Będę studjował... właściwy akcent angielski — dorzuca mój rozmówca. W Hollywoodzie nauka angielskiego szła mi trudno. Amerykańska angielszczyzna popsuła mi wymowę poprawną. Pragnę poznać akcent oxfordzki, bo może kiedyś, gdy wrócę z Hollywoodu na stałe do Europy, pokuszę się o zrobienie filmu w Londynie. Gdy skończy się mój kontrakt z Universalem — mówi na zakończenie Lukas — miałbym jedno pragnienie: powrócić na deski sceniczne do Budapesztu, do miasta, w którem życia nie bierze się tak poważnie, jak w anglo-saskich krajach!

Jest w Londynie „Hungaria Restaurant“; grają tam czardasza i piją tokay'a. Paul Lukas znajdzie tam atmosferę węgierską, zanim opuści zamglony Londyn w podróż wypoczynkową po Europie.

„Spec“.

ŻYCZENIA NAJMILSZEJ ZOSI.



Zosia Mirska, którą pamiętamy z filmu dziecięcego „Legjon ulicy“ zasyła wszystkim Czytelnikom „Światowida“ życzenia „Wesołych Świąt“. Niewątpliwie życzenia pochodzące od tak milutkiej osóbki, jak Zosia, zostaną przyjęte przez wszystkich z zadowoleniem.

AKTOR FILMOWY ŚPIEWAKIEM.

Zazwyczaj bywa tak, że wielki śpiewak, dzięki swemu głosowi staje się artystą filmowym. Zupełnie inaczej rzecz się miała z popularnym jeszcze w czasie filmu niemego John Bolesem. Skoro zapanował film dźwiękowy okazało się, że Boles posiada miły i niezwykle melodyjny głos. Toteż dzisiaj z pośród artystów filmowych Boles cieszy się wielkiem powodzeniem, łącząc w sobie urodę, talent i głos.

Budowa domków jednorodzinnych — to budowa zdrowej, szczęśliwej przyszłości; to budowanie wygodnych dróg dla nowych pokoleń — a tem zajmuje się w Gdyni T. B. O.

Poezja i proza.

— Ach, gdybym była ptaszkiem...
— Wtedy nie pozostałaby na tem drzewku ani jedna gałązka...

Brzydkie przyzwyczajenie.

— Jak nie przestaniesz mówić przez sen, to więcej z tobą nie pójdę do teatru...

Pneumatyczna łódź ratunkowa w opałach.

Największa groźba.

— Jak się jeszcze raz uśmiechniesz do służącej, to ją odprawię i będę sama gotować...!

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 48 nadesłali:

Wład. Wojtczakowa, Ozorków (zł. 20.—); J. Maziarz, Ozorków; T. Calińska, Murowana Goślina; T. Sobecki, Poznań; R. Schützowa, Poznań; M. Marcinkowski, Mirachowo; M. Grzenia, Sianowo; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; Sympatyk klubu „Enigma", Poznań; St. Effert, Poznań; B. Mendralówna, Rzeszów; Resplez-Hechel, Sambor; Helena Szeląg, Prokocim; Małecki Krzyworzeka, Kraków; Z. Komorowski, Poznań; H. Mikinowa, Poznań; St. Pellegrini, Bydgoszcz; A. Pluta, Buk; Ewa Burdzowa, Wilno; Wład. Tkacz, Chełm Lub.; Aleks. Kowański, Warszawa; J. Czołba, Poznań; M. Musiałowicz, Poznań; W. Zochowski, Lublin; J. Kozłowski, Rawa Ruska; Bol. Jurczyk, Krynica; Wład. Wicherek, Czechowice; Franc. Grochowski, Warszawa; Lilli Ślósecka, Inowrocław; Fr. Łukaszewicz, Wilno; J. Lisowa, Kraków; T. Rychlicka, Kołomyja; J. Janczewski, Wilno; mgr. A. Wymiatałkówna, Wieliczka; H. Iwaszkiewiczówna, Kraków; Kaz. Stankiewicz, Sosnowiec; Wład. Rajski, Rozwadów; Kaz. Figurowa, Kraków; Kaz. Kutermak, Ryszard Stołkiewiecz, Warszawa; J. Świerczyńska, Lwów; Z. Pieracki, Wilno; Kaz. Serafina, Wilno; K. Gibiński, Kraków; M. Szewiakowa, Wilno; J. Drozd, Żywiec; J. Obtułowicz, Żywiec; M. Seosecka, Gniewkowo; J. Klima, Kraków; A. Kuczewska, Warszawa; dr. J. Kmicikiewicz, Lwów; J. Bielesz, Kraków; J. Walczyna, Kraków; S. Marynowski, Łódź; **Cz. Buza, Rudka (zł. 10.—)**; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; inż. Ant. Szuksta, Warszawa; Szcz. Dorosz, Drohobycz; M. Hirschenfeldowa, Węgrów; Irena Senze, Żychlin; K. Karśnicki, Warszawa; H. Ławrentjewowa, Poznań; J. Koczwara, Bydgoszcz; Aleks. Cwynar, Kraków; K. Miłkowska, Kraków; B. Andrusikiewicz, Kraków; Lola Dąbkówna, Kraków; J. Kudyk, Kraków; St. Beśka, Stołpce; M. Pietrasiewiczówna, Ozorków; „Niezapominajka"; „Tuberoza"; S. Mikowska, Warszawa; J. Downarowicz, Warszawa; D. Herbstmanówna, Warszawa; Z. Szpindler, Warszawa; „Rozmaryn", Wilno; dr. H. Landau, Rozwadów; M. Bodner, Kraków; J. Sass, Krzeszowice; Stan. Koper, Kraków; B. Manulak, Kraków; Justyna Krasnodębska, Seroczyn; inż. J. Modrzejewski, Lublin; Stan. Gołąb, Wadowice; K. Kaczmarczyk, Kraków; J. Zapiór, Kraków; **Z. Lasocka, Warszawa** (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. I. 1934); J. Kwiatkowski, Warszawa; J. Kowel, Stołpce; „Bebe", Słonim; M. Gawryleni, Baranowicze; „Pik 20", Słonim; M. Jagusiński, Kraków; J. Kremer, Zaleszczyki; Michał Kuttner, Zaleszczyki; Irena Małecka, Warszawa; Z. Słowikowski, Warszawa; St. Ganks, Zawiercie; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Jawna Kowalska, Warszawa; L. Glaszmidt, Warszawa; Stan. Mucial, Długoszyn; Kaz. Brok, Dąbrowa Górn.; St. Golińska, Wołożyn; Tadeusz Fijaś, Warszawa; Bronisław Zarembiński, Augustów; Vira Berbecka, Warszawa; B. Sobocki, Zbiersk; ks. dr. Błasikiewicz, Sandomierz; Kaz. Kasprzycki, Bydgoszcz; J. Suliński, Kowel; W. Gąsiorowicz, Łęczyca; Eug. Petrynowski, Kutno; Emanuel Fronczel, Sosnowiec; H. Weisło, Sosnowiec; Cz. Kozłowski, Warszawa; H. Cieślikówna, Kraków; Z. Tietz, Warszawa; Markus Tenenhaus, Stanisławów; J. Bielenia, Warszawa; „Wiesław", inż. J. Gilewicz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; M. Czajkowska, Warszawa; M. Szczyrbakówna, Kraków; „Marynia T.", Kraków; Filip Schleimer, Stanisławów; A. Loeglerowa, Lwów.

Nagrody otrzymali pp. Władysława Wojtczakowa, Ozorków (zł. 20.—), Czesław Buza, Rudka (zł. 10.—) i Zofja Lasocka, Warszawa (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. I. 1934).

Redakcja „Światowida" prześle niebawem wyżej wymienionym pieniądze.

REBUS.

(Ułoż. L. Ciesielski, czł. Warsz. Kl. Szar.)

URAN
CIECZ
ŁODDDDDD
SAT
L. CIESIELSKI

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 23 grudnia b. r. wraz z załączonym kuponem.

REBUS.

Z. Tietza.

POZNAŃ
WARSZAWA
WISŁA
KRAKÓW
LWÓW
K
RY
T

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań redakcja „Światowida" przeznacza trzy nagrody.

Rozwiązanie z Nr. 48.

REBUS: Niemcy to jedna wielka fabryka gazów lotniczych.

REBUS: Stare miasto, to Warszawy relikwiarz święty.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 51 upoważniający do

EMIL AMMANN.

W służbie najbogatszej kobiety świata.

Sensacyjny reportaż szofera Miss Rockefeller.

Tutaj los zetknął mnie z tą kobietą, kroczącą w aureoli niezwykłej umiejętności życia, energji i dawnej piękności. Ale co zrobiły z niej długie lata zbytku i bezczynności!

Z uroku i wdzięku, któremi ongi czarowała otoczenie swoje w Ameryce, nic prawie nie pozostało. Liczyła lat pięćdziesiąt, była średniego wzrostu i dobrze zbudowana. Kwitnąca świeżość cery zanikła, skóra w miarę postępu wieku żółkła coraz bardziej, włosy nabierały siwego odcienia. Ale z twarzy o nieregularnych rysach błyskały nadnaturalnie wielkie oczy — i one to świeciły jeszcze resztką dawnej królewskiej chwały.

Postawę jej i zachowanie cechowało dziwne znużenie. Powłóczyła nogami, a zwykle była nieraz tak zaniedbana w stroju, że zetknięcie się z nią niemiłe sprawiało wrażenie. Kąpała się tylko raz na miesiąc — a Emma opowiadała mi, iż bielizna jej wygląda tak, iż trudno nieraz własnym oczom dać wiarę. Nosiła same dessous bez zmiany dopóty, dopóki to było dla cywilizowanej kobiety wogóle jeszcze możliwe. Zębów nie czyściła nigdy sama. Pozostawiała tę czynność dentyście, któremu z lubością powierzała usta. Pewnego razu, gdy dentysta właśnie skończył swoją pracę, odezwała się do sekretarki:

— Ach, jaka szkoda! Emmo, pani nawet wyobrazić sobie nie potrafi, jakiej przyjemności doznaję, gdy siedzę na krześle z otwartemi ustami, a on swemi narzędziami dłubie mi w zębach. A skoro przypadkiem natrafi na nerw, co to za rozkosz!... Mogłabym tak siedzieć godzinami!

Tak, różni są ludzie na świecie, ale myślę, że wśród dziesięciu tysięcy kobiet nie znaleźlibyśmy takiej dziwaczki, którąby mogła dorównać mojej pani. Gdy mrs. Rockefeller musiała się kiedyś poddać drobnej operacji macicy, lekarz zapytał w danej chwili, czy nie czuje bólu?

— O nie, przeciwnie! Proszę operować dalej, panie doktorze!

I czy nie świadczy to o dziwactwie, że najbogatsza kobieta w świecie trapiona była wciąż obawą, iż pewnego dnia braknie jej pieniędzy? Lęk przed nędzą i brakiem grosza dominował nad jej życiem. Jedna z jej sióstr z podobnych motywów popełniła samobójstwo we Włoszech.

— Nie rozumiem — mówiła często do swej sekretarki — czemu ludzie gadają, że jestem bogata! Majątek należy przecie do ojca...

— Zresztą, dorzuciła pewnego dnia, postanowiłam uczęszczać do szkoły gospodarstwa domowego. Kto wie, co przyszłość przyniesie! Psychoanaliza nauczyła mnie, że mogę kiedyś znaleźć się w sytuacji, w której będę zmuszona pracować na życie.

Jakoż istotnie niedługo potem królowa dolarów debiutowała jako uczenica jednej z zuryskich szkół gospodarstwa domowego. Podobno okazywała wiele zapału do nauki. Trudności wyłoniły się dopiero, gdy chodziło o garnirowanie półmisków. Pani Rockefeller okazała się bowiem niezdolną do obłukiwania skorupek z jaj na twardo.

— Rozbić surowe jajka na omlet, to potrafię. Ale za żadne skarby nie tknę się jaj na twardo... To nad moje siły!

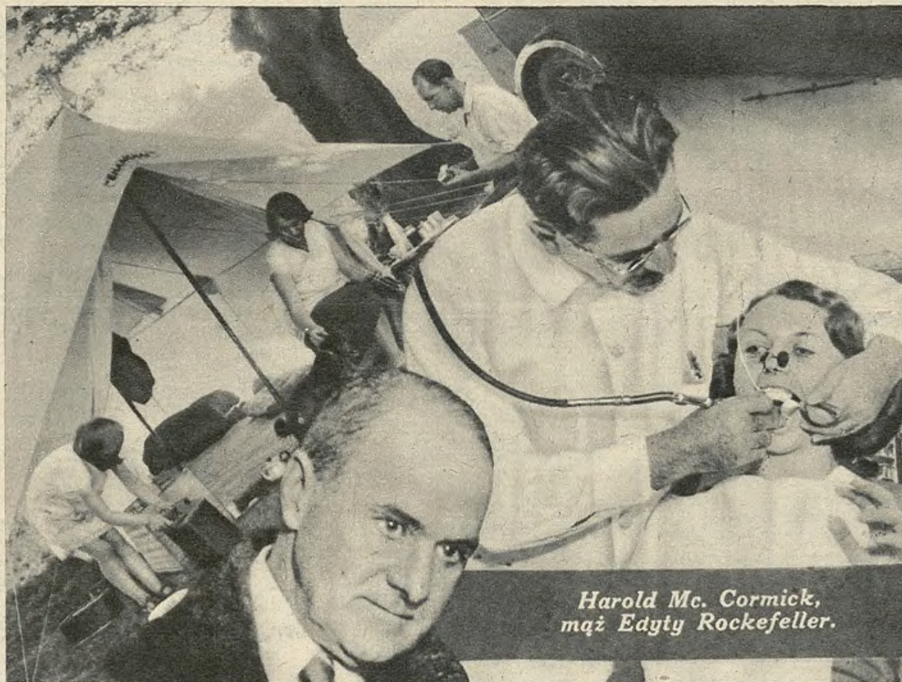
Ukończywszy szkołę gotowania, chodziła na kurs sztuki stosowanej, poza tem dzierżgała szydełkiem i na drutach szaliki, ochraniacze i inne przedmioty z włóczki dla żołnierzy.

I jeszcze jedną umiejętnością wielce mi imponowała. Potrafiła pisać bardzo czytelnie, nie patrząc wcale na papier. Pisała, czytając równocześnie gazetę. Pisała podczas jazdy w samochodzie, podziwiając piękność krajobrazu. Pisała nawet w salonie, gdy przyjmowała gości.

Harold Mc Cormick, mąż mojej pani, był pędziwiatrem i szałaputem co się zowie, ale zresztą poczciwym jegomościem, który umiał z ludźmi obcować. Niesłychanie dbał o poprawność. Zawsze wystrojony według ostatniej mody, w przeciwieństwie do swej małżonki brał codziennie ciepłą kąpiel.

Ale przykre następstwa wojny światowej zaważyły na życiu prywatnem przywykłego do zbytku miljonera. W tych latach, w których mr. Mc Cormick przebywał w Zurychu, Szwajcarja żywiła się tylko tem, co wojujące państwa przepuszczały przez swoje wojskiem obsadzone granice. Rychło tedy brak środków opałowych dał się ludności we znaki. W zimie z roku 1916 na 1917 Rada Związkowa widziała się zmuszoną do unormowania konsumpcji węgla. Kawiarnie i restauracje zamykały lokale już o 11-ej w nocy, w fabrykach robotnicy pracowali w płaszczach, a władze szkolne skróciły okres letnich wakacyj na rzecz zimowych, aby zaoszczędzić środków opałowych. Gdy wreszcie z powodu braku węgla ruch kolejowy doznał ograniczeń, ukazało się rozporządzenie, ograniczające możność brania ciepłych kąpieli w hotelach luksusowych do czterech dni w tygodniu. Ale pan Mc Cormick nie wziął sobie tego do serca. Czyż nie było lampek spirytusowych, które mogły zastąpić węgiel lub koks? Lampek nie brakowało! A ponieważ alkoholu do celów przemysłowych można było łatwo dostać w żądanej ilości, przebiegły i pomysłowy Amerykanin zakupił tuzin ogrzewaczy spirytusowych, ustawił je pod wanną i strasznie pysznił się swym wynalazkiem.

Ale nie zawsze dobry pomysł wydaje w praktyce dobre owoce. Niestety, miljoner-wynalazca przeoczył pewien drobny szczegółik, co pociągnęło za sobą niepożądane skutki. Wanna była z fajansu. I ledwo wynalazca zapalił pod nią spirytus, pękła z trzaskiem, a zawartość jej wylała się na posadzkę, zamieniając łazienkę i przyległy salon w ciepłe jeziorko.


Harold Mc. Cormick, mąż Edyty Rockefeller.

— Make haste, make haste! Krzyczał sprawca tego potopu, a zewsząd zbiegała się zaniepokojona służba hotelowa.

I ja byłem wśród ratowników, którzy pierwsi przybiegli na alarm. Ale stanąłem zdumiony nie tyle samym osobliwym wypadkiem, ile zachowaniem mego pana. Mr. Mc Cormick nie stropił się bowiem wcale nieoczekiwaną przygodą i nie wydawał się zmartwiony szkodą, jaką wyrządził. Wręcz przeciwnie! Jak chłopak rozbrykany podskakiwał radośnie i zanosił się od śmiechu:

— A to ci heca! Prędko, dawajcie wędkę! Może uda mi się złowić jakiego pstrąga!

My wszyscy cieszyliśmy się z nim społem i wybuchnęliśmy również hucznym śmiechem.

Reszta gości hotelowych jednak nie podzielała naszej radości i mniej od nas bawiła się tą przygodą. Woda poczęła bowiem przeciekać przez podłogę i krople deszczu zaskoczyły publiczność, zebraną przy śniadaniu w sali restauracyjnej na parterze. Dyrektor hotelu, zaalarmowany tym deszczykiem majowym, zarządził oczywiście osuszenie apartamentów na piętrze. Nowa wanna i naprawa podłóg kosztowała bagatelkę kilku tysięcy franków. Mr. Mc Cormick z uśmiechem zapłacił rachunek. Nie wydał mu się wcale wygórowanym w uwzględnieniu uciechy, jaką mu sprawiła ta przygoda.

Nazajutrz zrana król dolarowy zaalarmował ponownie cały personel hotelowy. W obawie, że pożar wybuchł, cała służba pędziła na złamanie karku do apartamentu dostojnego gościa. I mnie oczywiście nie brakło. Do końca życia nie zapomnę widoku, jaki nasunął mi się przed oczy, gdy pędząc bez tchu, otwarłem drzwi sypialni.

Mc Cormick siedział, nie, kucał na podłodze i lamentował jak dziecko, któremu się coś wydarzyło. Postać jego sprawiała tak żałosne wrażenie, że w pierwszej chwili trwoga nas ubezwładniła. Co się stało? Nikt nie miał pojęcia, bo nieszczęsny miljoner oznajmił nam tylko, że straszny czuje ból w krzyżu pacierzowym i nie może się podnieść w żaden sposób. Czemprędzej po lekarza!

— O Boże, Boże, jęczał bez końca, łzami zalany, co będzie ze mną, jeśli przez całe życie będę musiał leżeć złamany!

Ale Pan Bóg miał litość nad panem Mc. Cormickiem. Bo zanim lekarz zdążył przybyć na ratunek, chory sam powstał i wyprostował się, a ból w krzyżach znikł bez śladu. Lekarz pouczył pacjenta, który jeszcze wciąż trząsł się z przerażenia, że niema żadnych powodów do obaw, że wypadek jest bez znaczenia. Chodzi o lekki postrzał, który często sam przechodzi bez śladu. Król dolarowy nie dowierzał jednak tej diagnozie i zawezwał jeszcze drugiego lekarza.

Dopiero nazajutrz, gdy bóle się nie powtórzyły, pan Mc Cormick odzyskał humor i nabrał animuszu. Uradowany, postanowił „oblać“ cudowne swe wyzdrowienie, zorganizował tedy wycieczkę za miasto w towarzystwie trzech najlepszych swoich przyjaciółek.

Kwestja prowjantu oczywiście była głównym przedmiotem troski. Załadowaliśmy do samochodu moc najwykwintniejszych łakoci: homary, bażanty, pasztet i cukrów bez liku! Naturalnie reprezentowane były też najlepsze marki szampana. Proszono mnie również, abym zabrał z sobą swój gramofon.

Wyjechaliśmy w kierunku kantonu Glarus, aby gdzieś w ustronnym lasku rozbić nasz namiot. Wesoły piknik na cześć wyzdrowienia zmienił się w orgję, połączoną z tłuczeniem flaszek i kieliszków. Moja funkcja podczas uczty polegała na zmienianiu płyt gramofonowych. Nudna to była funkcja w porównaniu z funkcjami mego pana. Ale to, co mi dane było widzieć, stanowiło dla mnie odszkodowanie za to, czegom nie mógł skosztować. Proszę mi wierzyć, że sam widok tego, co się działo w zacisznym lasku, nasycił mnie gruntownie.

Gdy zabawa doszła do szczytu, pan Mc. Cormick zauważył nagle, że brakło mu papierosów. Co począć? Zostałem wysłany do najbliższej wsi, a gdy tam nie znalazłem żądanego gatunku, kazano mi jechać do Zurychu. Sto czterdzieści kilometrów tam i zpowrotem: to były drogie papierosy, na jakie pozwolić mógł sobie tylko Krezus, nie troszczący się, czy wyrzuci setkę mniej czy więcej. A może chodziło mu tylko o to, aby się pozbyć niewygodnego świadka?

Jak już wspomniałem, pan Mc Cormick był bon-vivantem, który rządził się kaprysami, zwłaszcza, jeśli chodziło o to, aby na chwilę wyzwolić się z pod jarzma małżeńskiego. Pewnego dnia rzekł do mnie tonem tajemniczym:

— Ammann, proszę czekać na mnie punktualnie o drugiej za hotelem, tam, gdzie tylne schody wychodzą na dziedziniec. Staraj się pan, aby pana nie widziano.

O oznaczonej godzinie zjawiłem się w umówionem miejscu. Mój pan już mnie oczekiwał. W ręku niósł mały pakiet.

— Ammann, nikt nie śmie się dowiedzieć, co zamierzamy. Przedewszystkiem dla mojej żony musi to być tajemnicą. Zrozumiał pan?

Zrozumiałem, ale nie wiedziałem wciąż jeszcze, o co właściwie chodzi. Gdy wsiadaliśmy do wozu, rzuciłem pytające spojrzenie memu panu.

— Do Genewy, proszę!

Powiedział to tym tonem, jakim ktoś mówi: „do fryzjera“. Nie można się dziwić, że mnie ten rozkaz zaskoczył. Odległość Zurychu od Genewy wynosi dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Ale co mnie to właściwie obchodziło? Przywykłem oddawna do dziwactw mego państwa, a za benzynę nie płaciłem z swej kieszeni! Puściłem motor w ruch i pełną szybkością pognałem do Genewy.

Przed dworcem Cornavin mr. Mc Cormick kazał mi stanąć. Wysiadł i pożegnał się następującemi słowy:

— A więc, Ammann, proszę pamiętać o naszej umowie! Ani słowa do nikogo o moim wyjeździe! Może pan wrócić do Zurychu.

Pierwszą osobą, którą nazajutrz spotkałem, była Emma.

— Czy pan nie widział gdzie pana Cormicka? Szukamy go wszędzie od wczoraj napróżno.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Otwarły się szeroko wrota śnieżystych ogrodów zimy i z poza nich wionęło na świat zimnym podmuchem, który otulił ziemię w białe puchy, radośnie przez wszystkich witanego śniegu. A w duszy rodzi się nam wielka tęsknota do śnieżystej dali, która czeka tylko, by ją przemierzyć długością nart, w przedziwne arabeski. Próżnoby się trudzić ich odczytywaniem. Wiemy z nich jednak tyle, że to kreśli je żądza przestrzeni, która budzi się w nas na widok śnieżystej dali, w której zdobywaniu, na szybkobieżnych deskach, w chyżym pędzie, w atmosferze mroźnego orzeźwiającego powietrza gór, odnajduje nerwowy i zneurastenizowany nasz organizm pełnię swobody ducha i poczucie równowagi, zagubionej wśród codziennych trosk.

Czeka nas śnieżna dal... czeka nas szeroki oddech gór.

Narciarski sprzęt i narciarski strój niewiele przysporzą kłopotu. Raz sprawione wystarczą na szereg lat. Dla panów zwłaszcza ubiór narciarski nie przedstawia zbyt trudnych do rozwiązania problemów. To tylko paniom moda zawsze nowe stawia wymagania, zmieniając kolory materjałów na kostjumy narciarskie, ich krój i drobne fatałaszki, które go uzupełniają, a więc czapki, szale, rękawiczki, pończochy. Strój męski tych kaprysów nie uznaje, a idąc w kierunku jak najpraktyczniejszego rozwiązania sprawy, wprowadza obok wełny i sukna, skórzane t. zw. „wiatrówki". Mniej polecenia godne są wełniane swetery, choć i te mają wielu swych zwolenników, zwłaszcza wśród narciarskiej młodzi. Gustownie dobrany szal ożywia monotonję kostjumu narciarskiego. Na białym tle śniegu wykwitają też z ciemnego tła narciarskich ubiorów kwieciste barwy, żywsze, rzecz oczywista, u przedstawicielek płci pięknej, która i na tym terenie musi wykorzystać swe atuty w kokieterji stroju.

J. Z.





Czeka nas śnieżna dal...



„EPOPEA RZYMSKA"
Mal. J. Mehoffer, Kraków